ŚWIATOWID

19 MAJA 1934 ROK
NUMER ZAWIE
24 STRON DRU
W CZECHOS
WACJI Kc. 2·20.

NR 21

GROSZY 60



PIERWSZY WYSTĘP LEKKOATLETÓW NIEMIECKICH W WARSZAWI

NOWY GABINET.

Przewidywana od pewnego czasu zmiana rządu jest już faktem dokonanym. Nie oznacza ona oczywiście żadnej zmiany zasadniczej, bo kierunek spraw trwale pozostaje ten sam, a tylko dokonała się zmiana na stanowisku prezesa Rady ministrów i w obsadzie kilku tek ministerjalnych. Powierzenie misji utworzenia gabinetu p. dr. Leonowi Kozłowskiemu, dotychczasowemu wiceministrowi Skarbu dowodzi, że zgodnie z aktualnem położeniem, nowy rząd położy szczególniejszy nacisk na załatwienie najpilniejszych i najtrudniejszych w obecnej chwili zagadnień gospodarczych.



Prof. Dr. Leon Kozłowski był poprzednio prof. Uniwersytetu we Lwowie i wybitnym uczonym oraz zasłużonym działaczem niepodległościowym. W roku 1930 wszedł do gabinetu p. prez. Sławka, jako min. ref. roln., następnie zaś został podsekretarzem stanu w Ministerstwie Skarbu.



P. Jerzy Paciorkowski piastował dotychczas urząd wojewody kieleckiego i wykazał wybitne zdolności organizacyjne i wielką energję w załatwianiu trudnych problemów. W gabinecie p. Kozłowskiego objął tekę ministra pracy.



P. Henryk Floyar Rajchman, dotychczasowy wiceminister Przemysłu i Handlu, powołany obecnie na ministra tego resortu, ma już od dłuższego czasu opinję bardzo wybitnego człowieka, doskonale orjentującego się we wszystkich sprawach swego działu, tak ważne posiadającego znaczenie.

UŚMIECH KRONPRINZA



W Rzymie odbyły się międzynarodowe konkursy hippiczne, w których wzięła udział także ekipa polska, nie odniosła jednak sukcesów, gdyż konie nasze nie dopisały. Puhar narodów zdobyli Włosi. Dzielnie spisali się także i Niemcy. Wśród gości znajdujących się na trybunie honorowej powszechną uwagę zwracał b. kronprinz niemiecki, Wilhelm. Starał się być popularnym i po rozgrywkach chętnie mieszał się z tłumem i rozmawiał z zawodnikami, z wyszukaną uprzejmością zwracając się szczególnie do Francuzów. Jakże zmieniają się czasy: dowódca armji niemieckiej z pod Verdun prawi komplementy Francuzom (na zdjęciu). Prawdziwa idylla.



GOTUJ BROŃ!

Charków był jeszcze do niedawna stolicą Ukrainy. Teraz musiał ustąpić miejsca Kijowowi. Rozbudował się jednak ogromnie i zyskał wiele gmachów reprezentacyjnych. Wyróżnia się w nich olbrzymi drapacz chmur przeznaczony dla władz sowieckich. Duże znaczenie dla tego miasta posiada także fabryka traktorów, jedna z największych na świecie. Na zdjęciu parada uzbrojonych robotników przed gmachem Sowietów w dniu 1 maja b. r. w Charkowie. Wszyscy robotnicy należą do przysposobienia wojskowego i stanowią rezerwy właściwej armji. „Gotuj broń" jest bowiem dewizą wszystkich państw, bez względu na ich ustrój.

MANEWRY FLOTY NIEMIECKIEJ.

Z Kilonji wypłynęła na pełne morze na manewry wiosenne dywizja pancerników niemieckich z okrętem „Deutschland“ na czele. Niemieckie okręty bojowe, pomimo, iż objętość ich, stosownie do postanowień traktatu wersalskiego, nie przekracza 10.000 ton, są ostatnim wyrazem techniki i spędzają sen z oczu admiralicji angielskiej. Naród niemiecki jest dumny ze swojej odradzającej się floty i nie szczędzi na nią datków, kontynuując dzieło cesarza Wilhelma, który mawiał, że „przyszłość Niemiec leży na wodzie“. W czasie wojny światowej flota niemiecka została zniszczona, pozostałe okręty musiały Niemcy wydać Anglikom. Zatopili je jednak w Scapa-Flow. Na zdjęciu flotyla poszukiwaczy min, opuszczająca Świnoujście.

Fot. Scherl.

LUDZIE, KTÓRZY NIE ZNAJĄ KRYZYSU.

Są jeszcze tacy ludzie. Zdawałoby się, że w szóstym roku trwania kryzysu trudno będzie znaleźć człowieka, któryby nie czuł na własnej skórze jego skutków. Tymczasem okazuje się, że nie jest tak źle. Są jeszcze ludzie, którzy żyją dziś tak, jak dawniej, zarabiają to samo co 6, 7 lub nawet 8 lat temu i nie narzekają.

Tymi szczęśliwcami losu są flisacy. Mimo wszelkich udoskonaleń technicznych, mimo rozwoju komunikacji kolejowej, transport drzewa drogą wodną okazuje się w dalszym ciągu najtańszy. Choć tratwa płynie do miejsca przeznaczenia zgórą trzy, a nawet cztery tygodnie, jednak przedsiębiorcy opłaca się to bardziej niż transport koleją.

* * *

Mieszkańcy nadbrzeżnych dzielnic Warszawy mogą zaobserwować z początkiem kwietnia, nieraz nawet w połowie marca sunące Wisłą tratwy. Nieraz zatrzymują się one w porcie, to znowu stają na środku rzeki. Kiedy się patrzy, jak „żółwim krokiem“ płyną po Wiśle pozbijane pnie drzewne, mimowoli nasuwa się pytanie: Czy to warto, czy to się opłaca, jak długo płynie tratwa, ile zarabiają flisacy, jak żyją, na czem polega ich praca?

* * *

T. zw. popularnie „krypą“ przedostajemy się na środek Wisły, na tratwy. Jest godzina 12.00. Retman z ludźmi poszedł po żywność. Na gospodarstwie został stary flisak. Może mieć około 70 lat. Twarz poorana, spalona od słońca i wiatrów. Siedzi przy ognisku i obiera kartofle na obiad. To ognisko urządzone jest wielce oryginalnie. Jakkolwiek niebezpieczeństwo pożaru nie jest na wodzie wielkie, tembardziej, że pnie drzewne po dwu tygodniowem leżeniu w wodzie są tak mokre, że mimo najszczerszej chęci trudnoby je podpalić — jednak flisacy są bardzo ostrożni. Między cztery grube kłody nasypali piasku i na sporządzonym w ten sposób suchym gruncie rozpalają ognisko. Dla zabezpieczenia przed wiatrem stawiają obok „kuchni“ parawan z sitowia.

W tej chwili na „kuchni“ stoją trzy zadymione, pokryte grubo sadzą garnki. Stary przyrządza dla nieobecnych chwilowo towarzyszów obiad. Od czasu do czasu odchodzi na drugą tratwę urąbie trochę drewek, potem znów siada przy dymiącym ognisku i obiera dalej kartofle. Spieszy się, bo przed odjazdem trzeba jeszcze kupić w mieście nafty, trzeba załatwić to i owo.

Płyną tak do Ulanowa. Na Wiśle są już dwa tygodnie. 600 pni zbitych w trzy tratwy prowadzi retman z czternastu towarzyszami do Torunia. Tam oddadzą transport, wsiądą do pociągu i na koszt przedsiębiorcy wrócą do swej wsi, by po zbiciu nowej tratwy popłynąć znów z nurtem Wisły.

Za każdy kurs flisacy otrzymują po 85 złotych. Żyją na własny koszt. O ile który jest oszczędny, przywozi do domu 50 złotych. W ciągu sezonu można nawrócić cztery, a nawet pięć razy.

Nasz rozmówca mimo swoich 70 lat odbywa w tym roku już drugi kurs.

— Nie nudzi wam się? Tyle czasu bez zajęcia, płyniecie tak i płyniecie. Roboty przecież tu niewiele.

— Wiele, niewiele, proszę pana — ale zawsze na dzień starczy. Skoro świt puszczamy śryk i jedziem. Kiej tratwy stoją to i roboty niedużo. Idzie się wtedy na miasto. A i tu w obejściu roboty się znajdzie. Rozpalić ogień, strawy ugotować, narąbać drew...

— A cóż, kryzys dał wam się we znaki?

— Ej, gdzie tam! Jak płacili, tak płacą. Żeby tylko zdrowie było i praca, to i Bogu dziękować...

— A co robicie w porze zimowej?

— Zajmujem się gospodarstwem. Jest tam tego parę morgów, trochę dobytku, to i roboty niemało.

— A teraz, kto tego pilnuje?

— Kobieta, dzieci...

Od brzegu Wisły odbija łódź i wolno płynie ku tratwom.

— Wracają — mówi stary, kładzie na siebie marynarkę, do ręki bierze koszyk, butelkę na naftę i zwinnie przeskakuje z tratwy na tratwę do miejsca, gdzie łódź przybije.

Gawędzimy jeszcze chwilę z przybyłymi, a potem życzymy im szczęśliwej drogi i wracamy do przystani.

Bohdan Skąpski.



Stary flisak, zajęty skrobaniem ziemniaków.



Tratwy z drzewem na Wiśle pod Warszawą.

NA WSZELKI WYPADEK.



Gwardje królewskie w dawnych czasach stanowiły elitę wojska. Powoływano do gwardji tylko najzaufańszych ludzi. Wiedli oni bardzo wygodny żywot, ponieważ służba ich ograniczała się do parad. Obecnie jednak w wielu krajach postanowiono gwardję zreformować i uczynić z niej naprawdę narzędzie bezpieczeństwa. I tak np. gwardja przyboczna prezydenta wyspy Kuby została ubrana w zwykłe polowe mundury i przeszkolona, tak, że potrafi w razie rozruchów lub rewolucji stawić czoło tłumom. Na zdjęciu gwardja przyboczna w czasie codziennych ćwiczeń w strzelaniu z rewolwerów na terenie zagazowanym.

FELJETON TYGODNIOWY.

W MAJU NAWET STARY KRZAK SIĘ ZIELENI.

Do sklepu z konfekcją męską wchodzi spora gromadka: mama, narzeczona, „on" i jego brat. W domu zdecydowano bowiem, że „on" powinien sobie już sprawić nowe ubranie, jako że jest narzeczony. Ubranie powinno być możliwie najelegantsze, najmodniejsze i najtańsze. Zresztą oceni to najlepiej mama, bo zna się świetnie na gatunkach. Przyniosła nawet ze sobą zapałki, aby spróbować, czy nitkę czuć. Zosia (narzeczona) oceni krój. „On" oczywiście wyda także swój sąd, ale na razie stoi cichy i jakby onieśmielony tą ważną chwilą. Zawsze to bowiem trzeba będzie wydać, jakie pięćdziesiąt złociszów, sumę wielką, gdy się zarabia dziewięćdziesiąt.

Kupiec, mały, ryżawy żydek, wlot ocenił sytuację i zrobiwszy poważną minę rzekł:

— W naszym składzie są już bardzo tanie i znakomite garnitury w cenie zł 40, ale tych panu nie pokażę.

Po tych słowach dramatycznym ruchem pociąknął kotarę i ukazawszy zdumionym oczom obecnych rząd najrozmaitszych ubrań, zaraz ją znowu zaciągnął.

— Ja widzę, — ciągnął dalej kupiec, że „pan się gustuje" tylko w najlepsze gatunki i dlatego nie pokazuję panu także te garnitury, co kosztują pięćdziesiąt złotych za sztukę. Dla pana ja mam coś specjalnego, z materjału angielskiego, prima, krój wiedeński.

Po tych słowach wyjął jasne ubranie i położył je na stole.

Młodzieniec ubrał marynarkę. Czujne oko matki, narzeczonej i brata spoczęły na nim.

— Coś za krótka — szepnęła narzeczona.

— To jest właśnie najmodniejsze — odparł kupiec.

— A czy nitkę czuć? — spytała mama.

— Dlaczego nie, może pani zapałką spróbować.

Długo naradzano się, oglądnięto kilkanaście marynarek, wypalono dwa pudełka zapałek, nareszcie „on" wyszedł ze sklepu a oblicze jego promieniowało nieziemską radością. Za pięćdziesiąt dwa złote kupił bowiem nowy wiosenny garnitur, z angielskiego materjału o nieposzlakowanym kroju. Odmłodził się, może się już żenić.

Brat tylko był trochę zmęczony. Próbując bowiem jakości materjału musiał miąć w rękach kilkanaście par spodni a później je wyprostowywać.

* * *

Starszy jegomość ogląda w sklepie kapelusze. Wybrał możliwie najtańszy, za dziesięć złotych.

— Proszę zapakować — mówi do kupcowej.

A kupcowa na to:

— Pan bierze ten kapelusz, a czy z przeproszeniem mało już kamieni dźwiga pan na swojem sercu?

— ?!

— To pan chce jeszcze jeden kamień dźwigać na głowie? Przecież to kamień nie kapelusz. Ja panu pokażę inne po dziewiętnaście złotych za sztukę, prawdziwe piórka, będzie pan się w nim czuł, jakby już kryzysu nie było.



Jegomość uśmiecha się, argument przekonał go.

Komuż na wioosnę chciałoby się bowiem dźwigać jeszcze jeden kamień. Kupuje więc kapelusz za dziewiętnaście złotych i cieszy się, bo mu jest lekko pomimo pięćdziesiątki.

* * *

Pan Adolf, emerytowany starszy poczmistrz (oberpostmeister) jak się mawało za tych dawnych, dobrych czasów) z wyraźnym gniewem ogląda swoją marynarkę.

— Na rękawie ogromna dziura!

— A szelmy, a oszusty, — mówi gniewnie do siebie, dawali gwarancję a tu już się rozłazi.

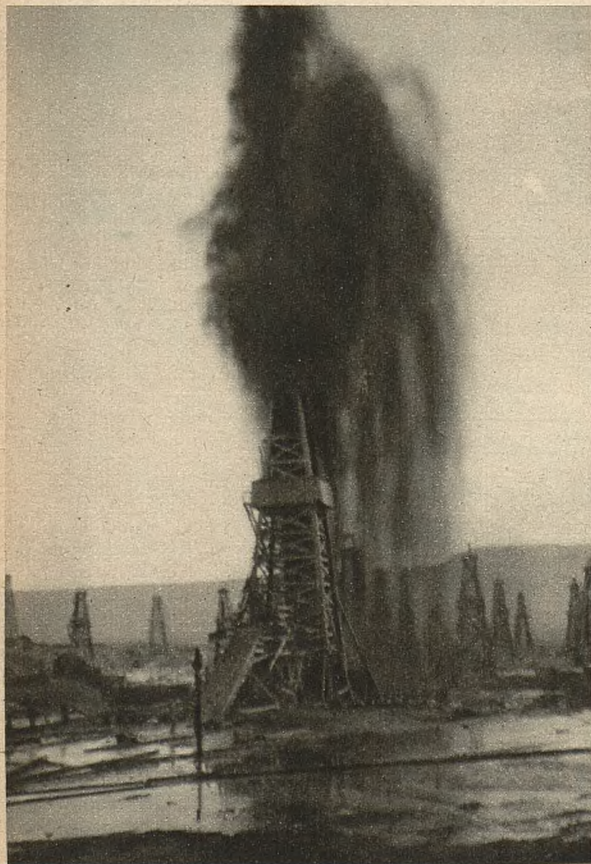
— Masz rację, — wtrąca się żona — to ubranie kupiłeś przecież niedawno.

— A tak, w 1914 roku, skorzystali szelmy z zawieruchy wojennej i dali mi podły towar. Wobec tego, tego roku nic nie kupię. Trzeba im dać nauczkę.

J. L.

Czytajcie „Wróble na Dachu".

NAFTA SOWIECKA BRZEGI RWIE!



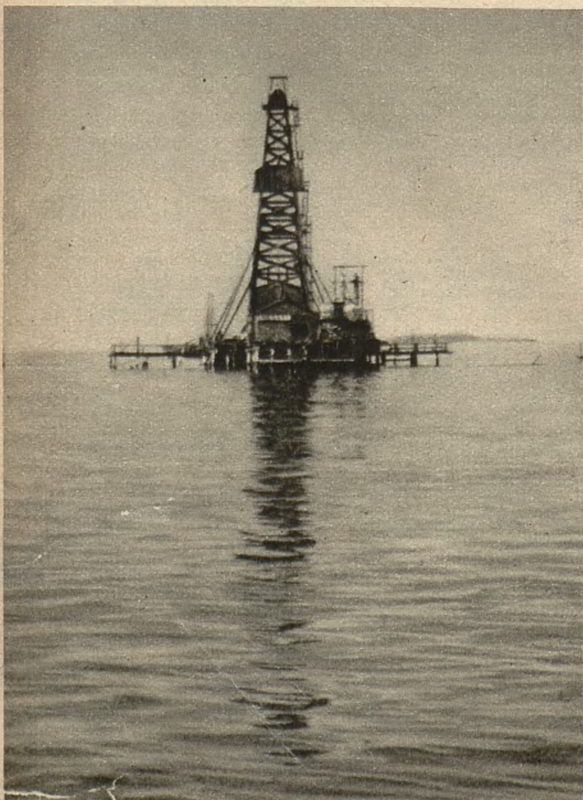
Wytrysk ropy w okolicach Baku.

W świecie naftowym toczy się nieubłagana walka pomiędzy trzema najbardziej wpływowemi grupami, a mianowicie Rockefellerem, reprezentującym produkcję amerykańską, Deterdingiem, stojącym na czele trustu angielskiego, eksploatującego Mosul, Persję i południową Amerykę i Sowietami, w których posiadaniu znajdują się przebogate kopalnie ropy na Kaukazie.

Już w zamierzchłych czasach człowiek spotykał tam palące się ognie i oddawał im cześć boską, nie mogąc sobie wytłumaczyć tego zjawiska. Tam narodziła się religja Zaratustry. Aż do połowy XIX wieku nikt jednak nie znał wartości tej łatwopalnej cieczy, która wytryskała z ziemi. Dość wspomnieć, że jeszcze w 1805 roku rosyjska akademja umiejętności, zbadawszy próbkę ropy, przysłaną z Kaukazu, orzekła, że płyn ten nie posiada żadnej wartości. Dopiero w 70 lat później kapitał zagraniczny rzucił się na Kaukaz, aby eksploatować tam płynne złoto, ukryte w ropie. Rotszyldowie, Deterding i bracia Nobel byli najważniejszymi z tych potentatów naftowych, którzy wiercili w Baku. Po przewrocie październikowym rząd sowiecki wywłaszczył wszystkich obcokrajowców, zdusił krwawo powstanie Gruzinów, subwencjonowanych przez potentatów naftowych i rozpoczął walkę dumpingową z Ameryką i Anglją, która naraziła szczególnie Rockefellera na olbrzymie straty. Dziś walka ta nie jest jeszcze zakończona, a Sowiety spodziewają się, że z pomocą swej taniej nafty i benzyny podkopią byt potężnych trustów, które dotąd rządziły światem.



Nadmorskie pola naftowe w Baku.



Szyb naftowy na morzu w pobliżu Baku.

ZDJĘCIA FOT. W. BUDZIANOWSKI.

PODRÓŻ MIN. BECKA DO RUMUNJI.



W tych dniach bawił w Bukareszcie p. min. spraw zagran. Beck, aby z miarodajnymi czynnikami tamtejszymi omówić ważne sprawy polityczne. Z narodem rumuńskim łączy Polskę serdeczna przyjaźń, której wyrazem były w swoim czasie odwiedziny pary królewskiej w Warszawie i wielokrotne podróże Marsz. Piłsudskiego do Rumunji. Na zdjęciu p. min. Beck z małżonką na chwilę przed odjazdem do Rumunji przed dworcem głównym.

GENJALNY ODKRYWCA.

Wyodrębnione po raz pierwszy przez naszego rodaka prof. Funka t. zw. witaminy są niezbędnie potrzebne dla organizmu ludzkiego, gdyż regulują one najrozmaitsze funkcje organizmu i przeciwdziałają chorobom. Jak dotąd, udało się ustalić skład chemiczny tylko kilku witamin. Niewątpliwie jednak jest ich znacznie więcej, gdyż niemal każdy rok przynosi coraz to nowe odkrycia. Ostatnio prof. Eulerowi (na zdjęciu) ze Sztokholmu, laureatowi nagrody Nobla, udało się wyodrębnić nową witaminę z soku cytrynowego i borówek, która posiada właściwość zabijania zarazków, powodujących ropne zapalenie płuc. Kto pragnie uchronić się od zapalenia płuc, niech je borówki i pije sok z cytryny.



ZUCHY NAD ZUCHAMI


Gawęda

„Zuchy“ podbiły serce Krakowa. Dziarskie drużyny, maszerujące przez ulice miasta w pochodzie propagandowym, witane były wszędzie serdecznie.

„Tydzień zucha“ wypadł pod każdym względem doskonale. Młoda ta, bo zaledwie trzy lata istniejąca organizacja, posiada obecnie na terenie województwa krakowskiego 174 gromad, w których skupionych jest 5.700 zuchów — chłopców i dziewcząt w wieku od lat sześciu do dwunastu. Przewodzi im w Krakowskiem harcmistrz Gołogórski, niezwykle popularny wśród młodych zuchów.

Widzieliśmy jego pracę — jest w rzeczywistości pierwszorzędna. Takie „sobótki“ na Błoniach krakowskich, gdzie wkoło wielkiego ogniska rozsiadła się wielka gromada zuchów na gawędzie, przeplatanej okrzykami, które strzelały w niebo, jak rakiety — były naprawdę jedyną w swoim rodzaju, przemiłą uroczystością. Uroczystością, która nie miała w sobie właściwie nic uroczystego.

„Zuchy“ opierają się przedewszystkiem na pierwiastkach słowiańskich. Nowego zucha wprowadzonego do gromady podaje się obrzędowi „postrzyżyn“. Rosną z roku na rok gromady zuchów i to wszerz i wzwyż, przyszłych skautów. **Zetge.**

ZDJĘCIA AGENCJI FOT. „ŚWIATOWIDA“.


Grupa „Zuchów“.


Propagandowy pochód „Zuchów“ w Krakowie.



Widok na Tatry Zachodnie.



WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. DR. WIECZOREK — ZAKOPANE.

Dolina Pięciu Stawów Polskich.

TATRY NA CENZUROWANEM.

Spór, jaki rozgorzał przed kilku miesiącami na temat przyszłości Tatr, oraz form Parku Narodowego, który ma powstać na terenie gór polskich — przybrał rozmiary zupełnie nieoczekiwane. Zdawałoby się, że w okresie powszechnego pochłonięcia uwagi przez zagadnienia polityki, kryzysu i gospodarki, sprawy Parku Narodowego i przyrody górskiej są czemś oderwanem od życia. Tymczasem popularność tego sporu i szerokie kręgi, jakie zatoczyła dyskusja wokoło Parku Narodowego dowiodły, że kwestja ta nie jest bynajmniej czemś nierealnem, ale przeciwnie — żywotnem i wszystkich żywo obchodzącem.

Z jednej strony wystąpili głosiciele hasła absolutnej ochrony górskiej przyrody, zwolennicy tworzenia t. zw. ścisłych rezerwatów, gdzie przyrodzie pozostawionoby, że tak powiemy, wolną rękę — z drugiej zaś wyraziciele sfer turystycznych, widzący w górach nietylko rzecz do oglądania i podziwiania, ale przedewszystkiem teren ekspansji, włóczęgi i bezpośredniego kontaktu. Sfery turystyczne zostały zaniepokojone projektami niezmiernie daleko posuniętych utrudnień w zwiedzaniu gór, utrudnień, które przypominałyby zupełnie metody propagowane swego czasu przez możnowładcę węgierskiego księcia Hohenlohe, pędzącego precz przy pomocy swoich jegrów, intruzów-tubylców. Nie można się dziwić, że w rozmaitych wypowiedzeniach sfer t. zw. ochroniarskich, propagujących ścisłą ochronę górskiej przyrody — spostrzeżono ze strony rzesz turystycznych zamach na swobodę chodzenia po górach, oraz zapowiedź dalszego ograniczenia i tak minimalnych udogodnień Tatr polskich.



Krasnoludek tatrzański.



Spór, który rozgorzał wokoło kwestji Parku Narodowego, to typowy spór zaprzysięgłych ideologów, pragnących uczynić z Tatr rzecz dostępną tylko dla wybranych, oraz ludzi nastrojonych społecznie, rozumiejących, że Tatry są własnością ogółu, że przeto należy je odpowiednio dla tego ogółu udostępnić. Wyraziciele tej opinji turystycznej, ani przez chwilę nie zamierzali podnosić ręki na uznane wartości górskiej przyrody. Z tego to właśnie względu zwalczali bardzo namiętnie projekt przeprowadzenia kolejki linowej na szczyt królowej Tatr — Łomnicy. Wychodzono bowiem w tym wypadku z założenia, że nie należy niszczyć majestatu skalnych wierchów, natomiast wolno i trzeba udostępnić te partje, które nie przedstawiają interesu alpinistycznego, jak np. Kasprowy.

Spokojnemu obserwatorowi, który przypatruje się z boku namiętnemu sporowi, nasuwa się z nieodpartą logiką myśl, że życie, które jest potężniejsze od wszelkich teoryj, przeforsuje swoje prawa również na terenie Tatr. Prawa te zaś, to żądanie dobrych, prawdziwie europejskich schronisk, to postulat doskonale wytrasowanych ścieżek, właściwego zagospodarowania hal, a wreszcie wyciągu linowego, któryby skanalizował niejako główny przepływ turystów przez Halę Gąsienicową. Postulaty tego rodzaju przeforsowało życie w Alpach przed laty trzydziestu — teraz przychodzi kolej na Tatry, które po polskiej stronie były niewątpliwie zaniedbane, jeżeli chodzi o gospodarkę turystyczną. Najlepszym tego dowodem jest fakt, jak inaczej wyglądają stosunki po czechosłowackiej stronie Tatr.

Od kilku miesięcy Tatry, ten wspaniały rezerwat zdrowia, piękna i niezapomnianych wzruszeń turystycznych, znajdują się na cenzurowanem. Niedaleka już przyszłość przesądzi inwestycje, których nikt i nic powstrzymać nie potrafi. Wiąże się z tem ściśle postulat unowocześnienia całego Podtatrza i Zakopanego, przyniesienia tam warunków, jakie oddawna panują w Austrji i Szwajcarji.



Mgły nad Morskiem Okiem.

★ STRACHY NA WRÓBLE W NOWEM WYDANIU.



Wszystko przeżywa się. I to nietylko w świecie ludzkim, ale i zwierzęcym. Obserwacje wykazały np., że ptaki, z wróblami na czele, nic sobie nie robią z t. zw. strachów, ustawianych na polach i siadają bez cienia bojaźni na owych patykach, przybranych szmatami, które mają wyobrażać groźnego człowieka. Ale na wszystko jest rada. Oto pewien Francuz wpadł na pomysł, aby na swojem polu, gdzie posiał smaczną sałatkę, rozstawić sztuczne koty, wykrojone z dykty i pomalowane na czarno (na zdjęciu). Podstęp udał się doskonale. Ptaki, widząc całą zgraję kocich drapieżników uciekają jak szalone z niebezpiecznego terenu, a sałatka rośnie sobie na pociechę jej właściciela.

★ POŻAR BALIC.



W pobliżu Krakowa znajduje się wieś Balice, będąca własnością ks. Radziwiłła. W dniu 8 b. m. piękną tę wioskę nawiedził groźny pożar, którego pastwą padło 11 domostw i 7 stodół. Dzięki pomocy straży pożarnej z Krakowa i okolicznych miejscowości (Modlnica, Bielany i Liszki) ogień został szybko zlokalizowany. Szkody wynoszą około 100.000 złotych. Pałac na szczęście nie ucierpiał. Na zdjęciu dogasające zgliszcza domów w Balicach.

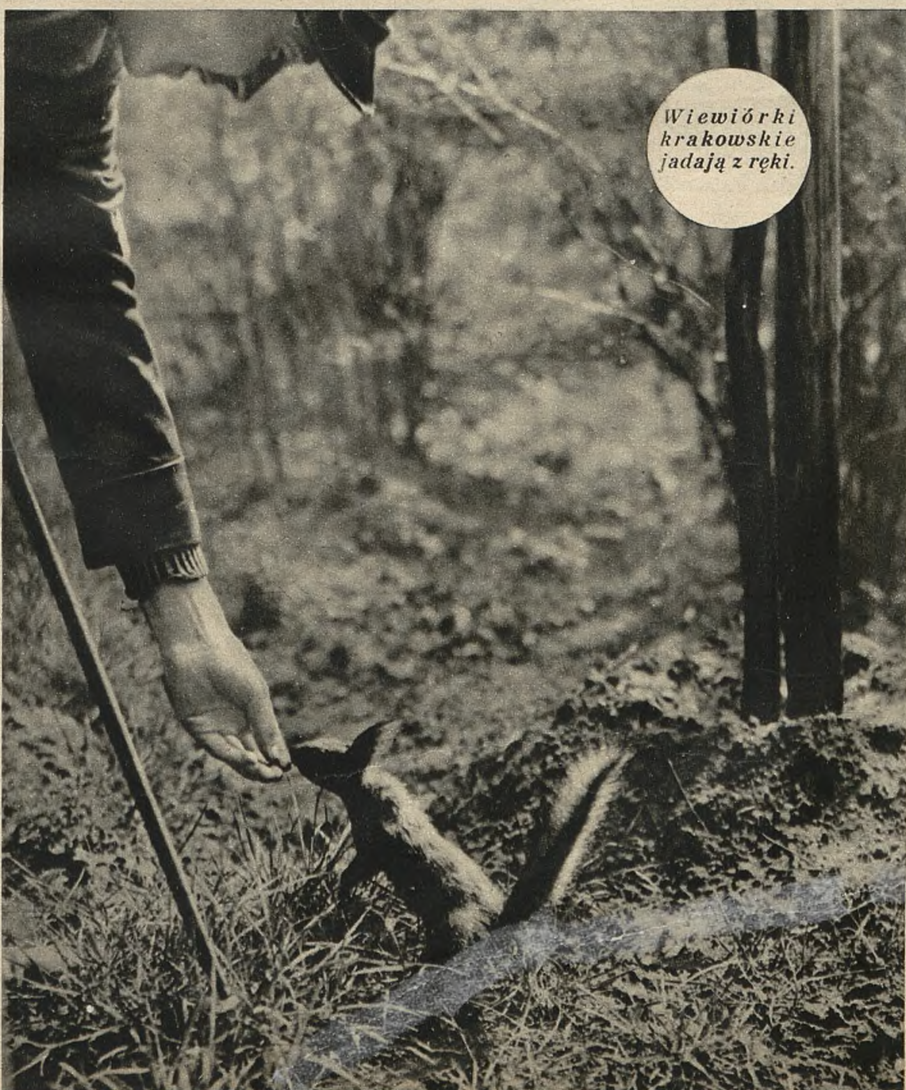
WIEWIÓRKI KRAKOWSKIE



„Basia“ na czatach.



Sam na sam z ludźmi.



Wiewiórki krakowskie jadają z ręki.

Z czego żyją wiewiórki i gołębie krakowskie?

Mam wrażenie, że w ostatnich tygodniach przeszły na żołd obcych agentur. Gołębie tuczą się francuskim grochem, rozdawanym przez francuskich ministrów a conto drugiej transzy pożyczki kolejowej, a wiewiórki z rąk niemieckich chrupią niemieckie orzechy. Rok temu powiedzielibyśmy, że wiewiórki żyją z gadzinowych orzechów.

Dziś jesteśmy pobłażliwsi. Rozszerzyliśmy skalę „pokojowych“ zwierząt. Nie tylko gołębie mogą kandydować do nagrody pokojowej Nobla — ale i wiewiórki.

Wiewiórki krakowskie zbliżyły dwa narody. Naprzód przez długi czas była „płonąca granica“ — „krwawiąca rana“ i t. d. Bytom był nam dalszy niż Tokio... i nagle pewnego dnia pod wpływem nowego wiatru, który powiał z boiska sportowego przyszły z Berlina rozkazy, które nakazały kategorycznie „Zgasić płonącą granicę“ i „zatamować krew na krwawiącej granicy“. I urządzono nawet pielgrzymki do tej „ziemi pod krzyżem“... Przyjechało tysiąc Niemców do Krakowa, gdzie jak się okazało jest rzeczywiście „Land unter dem Kreuz“ tylko z małą zmianą „Das Land unter dem Hackenkreuz“ na dworcu powitała gości wielka flaga ze swastyką...

Wyciągnęły się ręce do góry, a potem na powitanie. Przypominało mi to owe sytuacje, gdy nagle znajdziemy się w towarzystwie osób, którym nie kłanialiśmy się przez piętnaście lat i gdy trzeba na nowo się przedstawić.

Niemcy ruszyli na miasto. Było jeszcze zimno. Ani flaga, ani hymny nie zdołały odpowiednio „ocieplić“ atmosfery.

Znaleźli się na plantach. I nagle z drzewa zsunęła się puszysta wiewiórka, która ma pyszczek tak mały, że w magazynach mobilizacyjnych nie znajdzie się dla niej maski gazowej.

Wiewiórki krakowskie mają dużo obycia towarzyskiego. Podchodzą śmiało do ludzi najzupełniej obcych.

Podeszły z u f n o ś c i ą do Niemców. Wiewiórki, które zżyły się z plantami krakowskiemi, które w razie najmniejszego uchybienia ze strony P. T. publiczności telefonują ze skargą do „I. K. C.“ lub — innego „T. O. Z.“ nie są dziś podejrzliwie, ani bojaźliwe. Jedzą z ręki.

Wiewiórki są miłe — i są przekonane, że nie zrobimy im krzywdy. Podsłuchałem raz rozmowę takich dwóch wiewiórek.

— I ty się nie boisz tego pana z taką siwą brodą — pytała młoda naiwna wiewióreczka swej przyjaciółki.

— Gdzie tam — żyjemy w najkulturalniejszem mieście Polski — widzisz, odkąd tu mieszkam nie przeżywam już kryzysu zaufania do ludzi.

Na plantach krakowskich potworzyły się istne „kluby“ przyjaciół wiewiórek. Kluby, które mają w statucie jedno wymaganie „Bądź dobrym dla zwierząt“. Kluby, które nie są ekskluzywne, aczkolwiek mają już swą elitę.

Przychodzą tu panie codziennie, przynoszące stale daninę wiewiórkom. Widziałem tu człowieka prawie w łachmanach, który usilnie namawiał mnie, abym kupił orzechów dla wiewiórek. Nie prosił o parę groszy dla siebie, ale dla wiewiórek.

— Bo widzi pan, zima się zbliża, a one chowają sobie zapasy na zimę.

To był bezinteresowny intendent wiewiórek.

Nasza kasa oszczędności powinna ufundować jakieś stypendjum dla tych zwierzątek, które są wzorem oszczędności. W dniu propagandy oszczędności powinno się wyświetlać filmy z życia wiewiórek, chowających sobie w ziemi orzechy „na czarną godzinę“.

Życzę wam — wiewiórki, aby ta czarna godzina nigdy nie nadeszła. Byłaby to bowiem również czarna godzina Krakowa, świadcząca o tem, że „Klub dobroci“ rozwiązał się z braku członków.

Ale wracajmy do naszych Niemców. Stanęli na plantach wielką gromadą i przyglądają się wiewiórkom. Ten i ów przerzuca kartki Bedaeckera, szukając w nim wzmianki o tem niezwykłem zjawisku. Leśni mieszkańcy w centrum dużego miasta. Przebiegają przez szyny tramwajowe, siadają w taksówkach. A na Boże Narodzenie to pewnie chodzą z kolendą po domach i odwiedzają swe rodzinne drzewka z lasów podkrakowskich.

Roztkliwili się nasi goście... Wiewiórka, małe zwinne zwierzątko lasu urosło nagle do — symbolu prawie.

Jadło orzechy z rąk naszych i waszych. Odnosiły się do ludzi z tamtej strony granicy z taką samą ufnością, jak do ludzi z tej strony granicy. Czyżby miało się omylić?

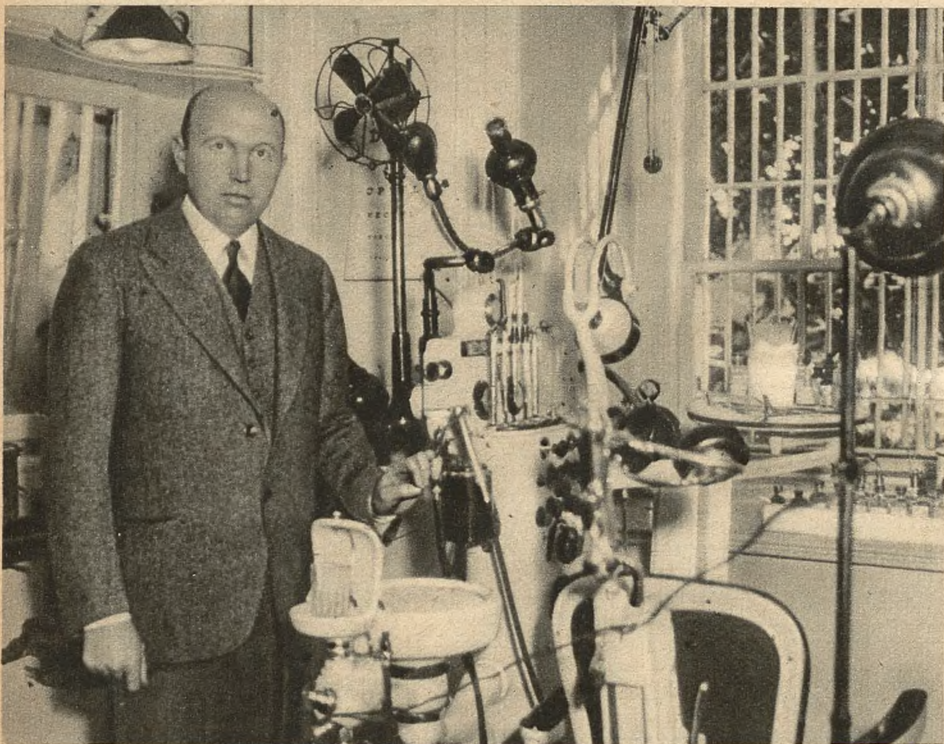
Czy człowiek, który kocha zwierzęta może być złym człowiekiem?

W każdym razie wiewiórki krakowskie, które później zdobyły potężne miejsce na kolumnach dzienników niemieckich z opisami wycieczki do Krakowa, stały się przez chwilę — gołąbkami pokoju.

Oby na jak najdłużej. Problem utrzymania pokoju jest ciężkim orzechem do zgryzienia — ale miejmy nadzieję, że wiewiórki mają ząbki dość ostre, aby go rozgryźć...

Zbigniew Grotowski.

STRAŻNIK
NAJWIĘKSZEGO SKARBU STANÓW ZJEDNOCZONYCH.



Komandor Ross (na zdjęciu) jest przybocznym lekarzem prezydenta Stanów Zjednoczonych Roosevelta. Zadaniem jego jest ustrzec od chorób i możliwie jak najdłużej przedłużyć życie człowieka, w którego ręce Ameryka złożyła swą przyszłość. Dr Ross ma do swojej dyspozycji wspaniale wyposażony gabinet, w którym poddaje swego dostojnego pacjenta co jakiś czas szczegółowym badaniom, przy pomocy najrozmaitszych aparatów. Prezydent Roosevelt cieszy się dobrem zdrowiem, jest jednak kaleką, cierpi bowiem na bezwład nóg. Mimo to wykazuje zadziwiającą energję i śmiało idzie do celu, jakim jest dobrobyt Stanów Zjednoczonych.

REWOLUCJA PARYSKA ...O LITERY.



„Bugatti“, na którym jedzie szczęśliwiec, któremu udało się wygrać na loterji.

(Korespondencja własna „Światowida“).

Paryż, w maju.

Pewien tygodnik paryski ogłosił parę lat temu konkurs następujący: „Wyobraź sobie, że jesteś miljonerem; twoje kapitały przynoszą ci 10.000 franków na 2 godziny; jakbyś je wydał?“ Odpowiedzi napłynęło moc. I okazało się, że mało kto umie wydawać pieniądze... Konkurs wygrał pewien szewc. Notarjusz tygodnika miał mu towarzyszyć w ciągu dwóch godzin i kontrolować „zabawę w miljonera“, wydając zań przyznane w premji 10.000 franków do wydania w ciągu 2 godzin...

Jeśli ów szewc miał fantazję wielkopańską, to nie można tego powiedzieć o szczęśliwych, wygrywających miljony na modnej dziś we Francji pierwszej loterji oficjalnej. W Polsce trudno doprawdy wyobrazić sobie, jak szalenie Francuzi są w stanie entuzjazmować się loterją, która w Polsce przechodzi bez wrażenia. U nas każdy kupuje los i chowa go. Tu dyskutuje się długo, wybiera, wreszcie biegnie do wielkiej sali Trocadero, w której odbywają się te ciągnienia.

Na sali zdenerwowanie wielkie. Inscenizacja umiejętna: orkiestra cedzi swe dźwięki, oddalając i dzieląc obrządek ciągnienia, powiększając emocję i zainteresowanie. Panowie w tużurkach, wielkie bębny (każdy zawiera 10 metalowych kul szczelnie zamkniętych i pokrytych gumą, kryjących w swem wnętrzu jedną z elementarnych cyfr lub literę), sieroty mające wyciągać losy... Lecz mimo skomplikowanej kontroli ciągnienia, publiczność zachowywała się w sposób, powodujący kilkakrotną interwencję Gwardji Narodowej! Pojawienie się dwukrotne tej samej cyfry powoduje burzę na galerji. Całkowita „abstynencja“ dwójki przyjęta została również złowrogiemi okrzykami... A na sali nie było chyba nikogo, ktoby nie wiedział, że jakiekolwiekbądź nadużycie jest zupełnie niemożliwe. Publiczność bawi się tylko... Zamieszanie jednak w niektórych chwilach wzmagało się do takiego stopnia, że panowie z komitetu spoglądali nieufnie na salę, skupiającą parę tysięcy osób, i ufniej na drzwi, wiodące w zakulisy.

Ale publiczność bawiła się tylko. I dla zabawy co chwila ktoś wykrzykiwał:

— To ja wygrałem!



Grupa robotników, na których los padło 500.000 franków.

Ludzie przyglądali się nieufnie, choć jeszcze ciekawie. Lecz, gdy wywołano numer odpowiadający jednej jedynej wygranej pięciomiljonowej, głosów takich rozległo się chyba ze sto... Tak bawić się umieją chyba tylko Francuzi. Nazajutrz bawili się dalej, opowiadając sobie szczegóły o szczęśliwych wygrywających, choć ci ostatni ukrywają się jak mogą. Prasa, pragnąc zadowolić czytelników, czyni wysiłki dla zdobycia wywiadu od poszczególnych nowoupieczonych miljonerów. Zarzuca ich pytaniami:

— A co pan zrobi z pieniądzmi?

Ich odpowiedzi pozwalają nam nawiązać do pierwszego zdania tego artykułu: ludziska są tak zaskoczeni, że niebardzo wiedzą co robić, jak odpowiadać. Instyktownie tylko zamykają się na cztery spusty, i nawet we śnie widzą worki listów i tysiące wyciągniętych rąk, proszących bądź o pomoc, jałmużnę (choć ze sto tysięcy...), współudział, spółkę, czy t. p.

Najbardziej zaskoczony był zresztą pierwszy multimiljoner, fryzjer z Tarascon, Bohoure, postać dziś prawie przysłowiowa we Francji. Gdy Przeznaczenie rzuciło na jego numer główną wygraną — on spał spokojnie. Sąsiedzi, posiadacze radja, obudzili go w nocy:

— Wygrałeś 5,000.000!!!

Kto z państwa uwierzyłby? Bo ja chyba nie! I pan fryzjer Bonhoure nie uwierzył. Zmuszono go jednak do postawienia szampana. Tłum wiwatował. Kazano otworzyć kawiarnię... Te niezwykłe zdarzenia kazały uwierzyć naszemu poczciwcowi, że sytuacja jest naprawdę poważna... Więc postawił szampana, i by pokazać, że stać go na wielkopańską fantazję, po namyśle postanowił nie wrócić do łóżka, lecz zaprosić przyjaciół na partję beloty... Trudne bywają pierwsze kroki miljonera.

W Paryżu obecnie wygrywający wielkie losy — kryją się. Zato przedstawiciele „populo“, robotnicy, chętnie dzielą się z innymi swą... radością, śpiewając na ulicach, przybywając manifestacyjnie po odbiór wygranej na autach ciężarowych, lub na wózkach ręcznych. Jeszcze Francja nie zginęła, póki żyje jej zdrowy humor!

Zygmunt Frenkiel (Paryż).

Naprzód bije żona, potem mąż.



Piękność berberyjska.



Wejście do miasta podziemnego Berberów.

Ciekawy szczep ludzki żyje w północnej Afryce. Są to tak zwani troglodyci, czyli mieszkańcy jaskiń podziemnych.

Miasto troglodytów przedstawia dziki wygląd. Piętnaście do dwudziestu tysięcy ludzi mieszka w podziemiach, i tu skupia się ich całe życie.

Naród ten jest rasy białej; są to właściwie berberowie z przymieszką aryjską. Wielu z nich pozostaje całe życie w podziemiach, wychodząc na powierzchnię tylko, by pogrzebać kogoś z rodziny. Wszystkie ich cmentarze znajdują się na powierzchni ziemi.

Troglodyci, pisze pewien podróżnik, który jakiś czas między nimi przebywał, **nie znają rozwodów.** Ciekawe jest ich małżeńskie pożycie w pierwszych czasach po ślubie.

Zaraz po ceremonji ślubnej, prowadzi się nowożeńców do nowego mieszkania i tam pozostają razem.

Wtedy młoda mężatka rzuca się na swego męża, drapie go po twarzy, kopie i okazuje największą złość, jaką tylko może.

Podczas tej walki młoda pani wyładowuje wszystek swój temperament złości — co cywilizowanym małżeństwom zabiera nieraz całe lata.

Gdy pan młody uważa, że jego żona wyładowała już wszystką swoją złość, wtedy uderza ją w głowę „pałką małżeństwa", następnie wiesza tę pałkę na ścianie, jako symbol swej władzy — i od tego czasu żyją w idyllicznym spokoju całe życie.

Z tegorocznych Targów Poznańskich.



Na tegorocznych Targach Poznańskich powszechną uwagę zwracało stoisko firmy „Centra" (W. Tomaszewski i Ska) z Poznania, której wielka zasługa jest, że przez podjęcie fabrykacji igieł gramofonowych, szprych, niplów i łańcuszków rowerowych, szydeł, szpilarek szewskich oraz nitów — uniezależniła nas od importu zagranicznego tych artykułów.

WŚRÓD BURÓW
WETERANOW WOJNY Z 1902 R.

Transwal, kwiecień 1934.

Napisał dla „Swiatowida“ i zilustrował wł. zdjęciami
KAZIMIERZ NOWAK.

Noc...

Już piąty raz wypada mi ją spędzić pod namiotem — na mokrej ziemi — w mokrem ubraniu — które wprost przegniło od błota i deszczów, padających dzień i noc.

Wokół czernią nocy spowita prerja — płaska, jak boisko sportowe.

Wiatr targa trawami — trzepocze płótnem namiotu — a niezliczona ilość świstaków nawołuje się na schadzki — a może skarży się na zuchwalców, którzy gromadnie ściągnęli na ich królestwo — prerję, i kilofami rozrywają rudą skorupę ziemi.

Noc... Czuję się jak pies bezpański, tak jakoś nieswojo, jak mało kiedy w podróży. Brak mi uśmiechu słońca, które od lat codzień całowało mnie swym gorącym promieniem, prowadziło mnie przez pustynie i puszcze — a tutaj opuściło mnie — skryło się gdzieś wysoko poza czarnemi zwałami chmur.

Pięć dni, jak opuściłem afrykańskie El dorado (Johannesburg), pięć twardych dni tułaczych. Po dobrej szosie, obok olbrzymich nasypów z piasku kwarcowego, z którego przed dziesiątkami lat wypłókano złoto.

Kończy się droga asfaltowa! — słup-drogowskaz głosi:

Do Johannesburga: pięć mil, a drugie ramię: do Kimberley. Rower utkwił w przepastnem błocie — pocieszam się jednak tem, że i auta mimo oplecienia opon łańcuszkami też tkwią po drodze — o ile to drogą nazwać można!

Naturalnie mapa czerwieni się grubą kreską, znaczącą drogę pierwszej klasy! — ale bo też niezawsze padają tutaj deszcze — a w porze deszczowej siedzi się w barach przy złotej „whisky“ i kartach — są zresztą i inne przyjemności, nie tylko podróż...

Podczas gdy przybysze z Europy lub Ameryki lubią pęd — wyścig, lubią w przeciągu dnia pochłaniać setki mil, pierwotna ludność tych stron kocha się w swych wołach, czy osłach, dla których na najdłuższą nawet drogę nietrzeba ani za grosza paszy.

Ot całkiem poprostu, większość tych zaprzęgów w kilka a nawet kilkadziesiąt wołów czy osłów, to ekwipaż pana farmera, który, obrobiwszy swoje pola, jedzie odpocząć, jedzie przez miesiąc, czy nawet kilka miesięcy, aby odwiedzić swoją córkę, lub tak tylko, dowiedzieć się, co się na świecie dzieje.

Dowiedzieć! — bo przecież na „miejscach wyprzęgowych“ spotyka się ludzi z całej bodaj Południowej Afryki — i z Angoli i z Mozambiku, i z obu Rodezji, nie licząc tych bliskich, z Unji, to jest z Transwalu, Natalu, czy z Dobrej Nadziei.

Wóz kryty, pełen koców i pierzyn, wędzony prosiak wypełnia skrzynię, trochę czosnku, cebuli i worek mąki kukurydzianej.



Murzynki z Transwalu, popisujące się tańcem obrzędowym.



Miejsce wyprzęgowe, czyli etap dla podróżujących po Transwalu wołami.

Czasem cała rodzina jedzie na takim olbrzymim wozie, a obsługa czarna prowadzi bydlęta. Na przedzie siedzi stary, właśnie na skrzyni z „wędzonem“, i jak jego dziad — pradziad, czyta ulubioną biblję, dopóki go senność nie zmoży. A potem wypoczęty, czyta dalej... czyta i czyta...

Czyta swoją biblję — a gdy woźnica nie może sobie dać rady z wołami, które zatarasowały drogę automobilowi, nie złości się, nie spieszy z pomocą, lecz mówi tylko do swoich:

— Jak można w kraju wołów jechać djabłem?!

Wóz jedzie — jedzie, skrzypią osie, aż w końcu pokazuje się tablica, oznaczająca etap. Do placu przylega pastwisko dla zaprzęgu, bydło idzie tam spiesznie i pasie się do wczesnego ranka. Płoną ogniska, wonieje „śpek“ (wędzona słonina) potem „kofi“, a potem żywy dziennik...

Murzyni zmęczeni pokładą się pod wozami i chrapią.

Poprzedniej nocy w takiem otoczeniu spędziłem długie godziny. — Byli to Burowie aż z „Coprivi Cypel“, to jest z nad granic Angoli — z tamtej strony Kalahari, którzy raz jeszcze chcą przed śmiercią zobaczyć pola walki w Transwalu.

— Ot! — widzisz ten „kopje“? (wzniesienie), tam straciłem moją rękę... Anglików było bodaj 5.000, konie silne, a żołnierz jeszcze lepszy. Było nas zaledwie stu, trzymaliśmy się trzy dni; kupa robactwa leżała i koni i „Jim'ów (Anglików), a gdy nas zaczęli otaczać, hen za temten „kopje“ uchodzić trzeba było!

A potem... oj, potem wieść nas doszła, że Anglicy żony nasze zagnali do obozów koncentracyjnych — wytruli jak myszy bezbronne (w obozie kobiet wybuchły epidemje — i to właśnie przyczyniło się do zwycięstwa Anglików, którzy inaczej nigdy nie opanowaliby tych ziem! Bur kocha bezgranicznie swoją żonę i dzieci). I wtedy zaczęła się straszna walka z Jimami i z własnem sercem, a rezultat? — ktoś zdradził naszą pozycję i ilość strzelb, do których mieliśmy jeszcze po trzy naboje...

A potem... oj, potem wieźli nas niby bandytów pod bagnetami hen aż tam, gdzie umarł Napoleon. I tam przeżyliśmy piekło na tej przeklętej skalistej Św. Helenie — piekło długie i straszne — bo w międzyczasie potruli nasze żony i dzieci, kafry popalili farmy i zrabowali bydło...

Wróciłem bez ręki — żebrak! — Ani grobu mojej rodziny nie znalazłem — pochowali ją jak padlinę, uszedłem stąd — na tamten kraniec Kalahari, pasę barany, dużo, dużo baranów!

Ale tęskno do Ojczyzny! — Tu się urodził mój ojciec — tu na koniu gnałem po tej prerji i łapałem żywe antylopy — na lasso, ot tak! — (ruch ręką omal mi głowy nie rozbił!), tu poznałem moją przyszłą żonę — i tu przeżyłem piekło całej bezwzględnej wojny Jim'ów, ale raz jeszcze chcę zobaczyć te strony. Jechałem tu całe sześć miesięcy, ale jestem nareszcie w Ojczyźnie!“...

Stary widział, że słucham z zajęciem, gadał i gadał, a drugi usnął — i spokojnie leżał przy dogasającem ognisku. Naraz, niby przekręcony kurek od wodociągu, lunął deszcz, rozszalała burza. Był to już najwyższy czas na spoczynek. Ale nie długo on trwał: woda pokryła cały plac, leżałem w niej szczękając zębami od zimna. A rankiem znowu z trudem toczyły się koła po transwalskim asfalcie!

A po obu stronach drogi sterczały świeżo usypane kopce przesianej ziemi, takie jak i te, które o parę kroków od mego namiotu widać w świetle błyskawic, a na których siedzą świstaki

Tak! — przejechałem złote pola — a teraz koczuję na polach djamentowych — i może właśnie pod mym namiotem drzemie skarb przeogromny?! Może! — Ale już noc późna. Teraz nie mam ochoty do kopania i szukania djamentów. Lepiej się prześpię, bo jutro znowu błotna droga, a tam już niedaleko granica — ostatni etap w dal:

„Dobra Nadzieja!“

ZDJĘCIA K. NOWAKA.



Hotel w dzielnicy murzyńskiej Johannesburga. O powodzeniu takiego lokalu decyduje zazwyczaj malowidło w oknie.

Osoby biorące udział w ankiecie filmowej powinny dołączyć do artykułu swą fotografję.
REDAKCJA.



JAK PRZED PÓŁ WIEKIEM

Artystki filmowe lansują obecnie modę, przypominającą nam żywo styl z przed lat 50-ciu. Szerokie kapelusze, obfite falbany, jeszcze chwila, a doczekamy się krynoliny, czy tiurniury. — Trzeba przyznać, że pięknej artystce Rosemary Ames (na zdjęciu) jest w tym najmodniejszym, staromodnym stroju do twarzy.

NIEZADOWOLONA „MAŁGORZATA"



Berlin, w maju.

Wszyscy ją doskonale pamiętamy z roli Małgorzaty w filmie reżyserji F. W. Murnaua p. t. „Faust". Była wówczas partnerką Emila Janningsa. Jest rzeczą ciekawą, że ta inteligentna artystka przyznaje się do tego, iż od tego czasu nie miała jeszcze sposobności zagrania roli, którąby jej tak odpowiadała, jak właśnie rola Małgorzaty.

O swojej karjerze Kamilla Horn opowiada następujące szczegóły:

— Urodziłam się w Frankfurcie nad Menem dnia 25 kwietnia, roku — mniejsza o to. Właśnie przedwczoraj miałam urodziny i dostałam bardzo dużo pięknych prezentów, z których chyba najpiękniejszym jest mały foksterjerek...

— Dawny mój zawód nie miał w sobie nic romantycznego. Byłam zwyczajną szwaczką. Szyłam koszule i perkalowe bluzki. Dzień w dzień to samo. Życie było monotonne i nieciekawe. Zczasem jednak musiałam się oglądnąć za jakąś inną robotą. Moja koleżanka zarabiała jako statystka filmowa. I ja postanowiłam spróbować szczęścia. Zadebjutowałam wówczas poraz pierwszy w scenach masowych filmu „Tartuffe", który inscenizował niezapomniany Murnau. Jak panu zapewne wiadomo, główną rolę kobiecą tego obrazu grała Lil Dagower. Ona była już wówczas sławną gwiazdą. W scenarjuszu była przewidziana pewna, dosyć pikantna historja. Lil Dagower miała „podziałać" na zmysły „Świętoszka" (którego odtwarzał Emil Jannings) przy pomocy... pięknych nóg. Ponieważ nogi Lil Dagower okazały się nieodpowiednie do tego, reżyser Murnau polecił swemu pomocnikowi poszukać parę „fotogenicznych" nóg. Musiałyśmy wtenczas, wszystkie obecne statystki, podkasać sukienki i przedefilować przed asystentem Murnaua. Wybór padł na mnie. To zadecydowało o mojej przyszłości. Wkrótce potem reżyser Murnau, który poszukiwał właśnie odpowiedniej aktorki do roli Małgorzaty, powierzył mi odtworzenie tej postaci.

— Dlatego bardzo mile wspominam także chwilę, w której zaproponowano mi zagranie roli małej statystki filmowej, która „robi" karjerę w filmie „Odwieczne marzenie". Ale widzi pan — mimo wszystko jestem z siebie niezadowolona.

— Jestem wprawdzie bogata, jestem popularna, w ostatnim roku nakręciłam sześć filmów. Nie mam jednak z swej pracy satysfakcji. Weszły teraz u nas w modę takie lekkie wesołe filmy, co to nie są filmami, ani rolami, ani niczem. Grałam raz księżnę, innym razem odtworzyłam znudzoną studentkę, ostatnio byłam córką bogatego fabrykanta samochodów, która kocha się w biednym wynalazcy. Ale, co to wszystko znaczy, skoro od czasu „Fausta" nie zaproponowano mi jeszcze żadnej roli, w której mogłabym rozwinąć całe moje zdolności. Czuję jednak, że wywiązałabym się o wiele lepiej z większych zadań, aniżeli z ról w tych filmach.

Reld.

SOBOWTÓR DYPLOMATÓW.

Londyn, w maju.

Po wielu latach artystycznych wędrówek za Atlantyk, powrócił do Londynu, do swej rodzinnej Anglji, aktor wielkiej klasy, odtwórca ról charakterystycznych, George Arliss. Po sukcesach scenicznych na Fifth Avenue w Nowym Jorku, Arliss zdobył rozgłos w filmie dźwiękowym, gdy w roku 1929 odtworzył wiernie postać męża stanu W. Brytanji Disraeli'ego. Od tego czasu George Arliss ma oczy zwrócone ku wielkim postaciom historycznym na arenie wielkiej polityki i finansjery. Otwarza postać potentata finansowego Rotszylda, a obecnie na zaproszenie studjo Gaumontu przybył nad Tamizę, by zagrać w filmie dźwiękowym rolę angielskiego męża stanu z XIX wieku, Józefa Chamberlaina, ojca dzisiejszego min. skarbu w W. Brytanji, Nevill'a Chamberlaina i b. min. spraw zagran. Austina Chamberlaina.

Arliss posiada zadziwiająco podobne rysy twarzy do Józefa Chamberlaina. Nosi, podobnie jak głośny mąż stanu, zawsze monokl w oku, posiada wytworne obejście i exterier urodzonego arystokraty. Arliss ujrzał światło dzienne przed 65 laty w dzielnicy artystycznej Londynu, w słynnem Bloomsbury. Ojciec jego był właścicielem drukarni i wydawcą książek i znany był w okolicy pod nazwą „księcia Bloomsbury". Nosił zawsze monokl w oku. Młody Arliss przez jeden rok odbywał praktykę w biurach swego ojca, ale już wieczorami debjutował w amatorskich zespołach teatralnych. W młodzieńczym wieku startuje na deskach teatralnych w zachodnim Londynie, zdobywa popularność, wstępuje w związki małżeńskie z koleżanką ze sceny, Florence Montgomery (która w wiele lat później występuje z nim w filmie „Disraeli" i „Miljoner") i wyrusza na tournee artystyczne za Atlantyk, w zespole teatralnym p. Patrick Campbell. Udaje się do Ameryki na 4 miesiące, a tymczasem los sprawia, iż zostaje w Ameryce przez dwadzieścia lat.

Karjera Jerzego Arlissa w Stanach Zjedn. obejmuje dwa etapy: sceniczny i filmowy. Do chwili pojawienia się dźwiękowca Arliss przebywa wyłącznie na deskach teatralnych.

Spotykamy George Arlissa w studjo Gaumontu. Przybył przed kilku dniami do Londynu z Hollywoodu. W studjo mówią sobie szeptem, iż po długiej pielgrzymce czeka Arlissa zaszczytna nagroda, bo tytuł szlachecki „sira" w najbliższej liście noworocznej J. K. Mości.

Przed nami zjawia się, w towarzystwie managera, Jerzy Arliss. Zdejmuje monokl z oka i przeszywa nas ostrem spojrzeniem. Ale za chwilę twarz ożywia się i świetny aktor mówi z pogodnym humorem, iż w czasie przejazdu przez Atlantyk, studjował literaturę i anegdoty, dotyczące postaci Józefa Chamberlaina.

— Kiedy rozpoczną się prace nad realizacją filmu? — zapytaliśmy.

— Narazie — mówi Arliss — zamierzam w mej posiadłości wiejskiej w Kent wgłębić się w literaturę przedmiotu w czasy i ludzi, jakoteż zetknąć się bliżej z żywymi świadkami epoki Chamberlaina. Rozpocznę nagrywanie nie wcześniej, niż w połowie sierpnia br. Jest publiczną tajemnicą, iż za odtworzenie postaci Chamberlaina, otrzyma J. Arliss około 1 miljona zł.

Sp.



Jerzy Arliss, świetny aktor angielski, odtwórca ról dyplomatów, kreuje główną rolę w filmie „Dom Rotszyldów". Na zdjęciu scena z tego filmu, Jerzy Arliss (na prawo) w rozmowie z Borysem Karloffem.

WIELKA ANKIETA „ŚWIATOWIDA“
O PRZYSZŁOŚĆ POLSKIEGO FILMU.

Lista grzechów i błędów filmu polskiego jest bardzo liczna i niejednokrotnie dyskutowana za równo w kołach fachowców, jak i przeciętnych kinomanów. Jednym z niewątpliwych grzechów polskiego filmu jest **scenarjusz**, który idzie przeważnie po linji nieprawdopodobieństwa, rozbieżnych chęci, braku harmonji a często zupełnie złego smaku. To też

ORGANIZUJĄC
KONKURS NA SCENARJUSZ,

zamierzał „Światowid“ **zaradzić tej podstawowej chorobie polskiego filmu** i pozwolić wypowiedzieć się wszystkim tym, którzy orjentują się w sprawach filmowych. Konkurs nasz dał imponujący wynik, przynosząc około 700 scenarjuszy, z czego niewątpliwie wyłoni się szereg ciekawych i oryginalnych pomysłów.

Redakcja naszego pisma nie poprzestaje jednak na scenarjuszu, ale

PRAGNIE SIĘGNĄĆ DALEJ I GŁĘBIEJ.

Wszyscy zgadzają się w tem, że film polski popadł w dziwną monotonję tematów, że **zaszedł w ślepą uliczkę** zarówno w doborze swoich efektów, jak i sił aktorskich. Niejednokrotnie słyszy się skargi, że dobre pomysły zostały wypaczone przez grupę spekulantów, z których każdy pragnie „ubić interes“, nie troszcząc się zupełnie o poziom artystyczny ani cel filmu. Z takiego nastawienia wychodzą **twory poronione**, gdzie rzadkie błyski talentu i pomysłowości toną w rozpaczliwej płytkości.

Z tego to względu

ORGANIZUJEMY OBECNIE ANKIETĘ,

która zgromadzi **krytyczne głosy wybitnych fachowców filmowych** na temat braków i luk naszego filmu. Jesteśmy przekonani, że ankieta nasza wyświetli niejedną ciemną sprawę i bolączkę filmu polskiego.

Zapraszając wszystkich, którym dobro filmu polskiego leży na sercu

DO WZIĘCIA UDZIAŁU W NASZEJ ANKIECIE,

zapowiadamy zarazem, że ze swej strony **zamieścimy szereg głosów najwybitniejszych w Polsce znawców sztuki filmowej** — tak teoretyków, jak i praktyków.

Odpowiedzi powinny być krótkie, (najwyżej 40 wierszy druku) i **zaopatrzone w fotografję autora**, które w miarę możności będziemy starali się zamieścić łącznie z opinją.

Kierownikiem ankiety jest red. dr. Jan Lankau.

Na pierwszy ogień udzielamy głosu znakomitemu krytykowi, teoretykowi filmu Karolowi Irzykowskiemu.



Karol Irzykowski (Warszawa), Akademik, znakomity pisarz i krytyk, autor „X Muzy“.

BRANŻA FILMOWA W POLSCE — TO MAFJA *mówi Karol Irzykowski.*

— Czy chodzi pan często do kina? — zapytuję autora „Dziesiątej Muzy“ Karola Irzykowskiego.

— **Bardzo rzadko. Za zaproszeniami, lub żeby zobaczyć filmy sowieckie.** Czasem zwabi mnie jakiś film sensacyjny. Często zwlekam z pójściem, aż film zdejmą z ekranu.

— Chodzi pan na filmy polskie?

— **Nie. Nie zapraszają mnie teraz, a sam nie jestem ciekaw.** Poprostu zachowuję się jak zwykły klijent. Chodzę na to, co mnie pociąga lub ulegam przypadkowi.

— Czego, zdaniem pańskiem — **brakuje polskiemu filmowi?**

— **Czego? No — mnie.**

— ??..

— To znaczy, że niegdyś **przed 10 laty, kiedy wyszła moja „Dziesiąta Muza“, uważałem się za powołanego i zdolnego do podźwignięcia filmu polskiego na wyższy poziom. Bezpośrednim naturalnym skutkiem mojej teoretycznej książki powinno było być zaproszenie mnie przez jakiekolwiek przedsiębiorstwo filmowe do udziału w pracy praktycznej. Ale nikomu nie wpadło to na myśl, a sam się nie pchałem. Pchało się natomiast stu innych.** I owszem zaproszono mnie — ale na pokazy gotowych już, więc straconych filmów, żebym jako krytyk ocenił i oczywiście robił reklamę! A niektórzy wytwórcy, aby mi pochlebić, mówili nawet, że postępowali według moich wskazówek. **Ale to wszystko było — partactwo...**

— Czy teraz gotów by Pan był wziąć udział w jakiem przedsięwzięciu filmowem?

— **O nie, już nigdy.** Ale mogę **wskazać kogoś innego np. Feliksa Kuczkowskiego.** To umysł artystyczny, pełen wspaniałych pomysłów. To co robi dziś Fleischer i czem zachwyca świat — on pomyślał już i próbował przed 20 laty. Druga niezużytkowana dla filmu polskiego siła — **to Tadeusz Peiper, który w swej książce „Tędy“,** w rozprawce **o filmie udowodnił, że na istocie kina zna się lepiej od całej branży.**

— Czy ma pan nadzieję, że to się zmieni?

— **Nie. Branża filmowa w Polsce — to mafja, która będzie sama partaczyć i paskudzić przez sto lat, a nie dopuści nikogo inteligentnego, bo boi się go i wstydzi!** **J. M.**

SPIS SCENARJUSZÓW
NADESŁANYCH NA KONKURS FILMOWY DO 30. IV. b. r. WŁĄCZNIE.

(Ciąg dalszy).

587. „Anonyme“ — 588. „Godło Avistins“ — 589. „Roma“ — 590. „Ta“ — 591. „Sygnet herbowy“ — 592. „Kinoman z Warszawy“ — 593. „Aleksander“ — 594. „Moja dziesiąta muza“ — 595. „1863—1933“ — 596. „Husar“ — 597. „Tempus“ — 598. „SW 7“ — 599. „Przechodzień“ — 600. „Nie było nas, był las“ — 601. „Von Igas“ — 662 „Wilejka“ — 603. „Hel“ — 604. „Miljard franków szwajcarskich“ — 605. „Fuksy we Lwowie“ — 606. „Anna III“ — 607. „Nic się nie spodziewam“ — 608. „Madame X“ — 609. „Vigo“ — 610. „Haem“ — 611. „Mewa“ — 612. „Enon“ — 613. „Jotwicz“ — 614. „Szeszot“ — 615. „Orlik“ — 616. „Znak zapytania“ — 617. „Ginefin“ — 618. „Gaudeamus“ — 619. „Miłość braterska“ — 620. „Bajka 19“ — 621. „Na dwoje babka W“ — 622. „Młyn“ — 623. „Ikar“ — 624. „1905“ — 625. „Stefan Guston“ — 626. „Shocking w pałacu“ — 627. „Siłaczka“ — 628. „Wach“ — 629. „Lechita“ — 630. „Utile duki“ — 631. „Stud. Gr. M“ — 632. „Torpeda“ — „633. „Narcyz“ — 634. „Pe-wien 09“ — 635. „Trybunał“ — 636. „Charitas“ — 637. „Bożęta‘ — 638. „Benito“ — 639. „Espe“ — 640. „Nowicjusz“ — 641. „Wabryn“ — 642. „Tysiąc sztuk złota“ — 643. „H. P.“ — 644. „Lina Lang“ — 645. „Bela“ — 646. „Lucjan Sulima“ — 647. „Kwiaty w manszecie“ — 648. „Warszawa-Gwizdoń“ — 649. „Przyjaciel“ — 650. „Nadzieja“ — 651. „Światowid“ — 652. „Na straconym posterunku“ — 653. „Korona“ — 654. „Kopciuszek“ — 655. „Łazik“ — 656. „Światłocień na śniegu“ — 657. „Zuz“ — 658. „Praktykant“ — 659. „Banita“ — 660. „Nihil Novi“ — 661. „Koźlaróg“ — 662. „Stella“ — 663. „Zgoda“ — 664. „Nr. losu 113167“ — 665. „Zbych“ — 666. „Los“ — 667. „Mad Hatter“ — 668. „Wtomigraj“ — 669. „Trudno, ale nie darmo“ — 670. „Rary-tas“ — 671. „Knock-aut“ — 672. „Fatum“ — 673. „Historja z prawdziwego zdarzenia“ — 674. „Pax“ — 675. „Cieszyniak“ — 676. „George Lewis“ — 677. „Fachowiec“ — 678. „Mirla Efros“ — 679. „X. 27“ — 680 „Chat noir“ — 681. „Sursum Corda“ — 682. „Inu-Lusia“ — 683. „Ucz. VI. 365 Kraków“ — 684. „Kraków 24“ — 685. „Swojska pieśń“ — 686. „5 zet“ — 687. „Pięć mnut przed dwunastą“ — 688. „Marnotrawna córka“ — 689 „Wszystko dla dziecka“ — 690. „Kordek“ — 691. „Eugenio Valderi“ — 692. „Fantazja B“ — 693. „165309“ — 694. „Veritas“ — 695. „Orfeusz“ — 696. „Non omnis moriar“ — 697. „Marlo“ — 698. „Glorja victis“ — 699. „Na progu życia“ — 700. „Djana“ — 701. „Parada sobowtorów“ — 702. „Sir“ — 703. „A. Asmański“ — 704. „Jaxa“ — 705. „2000 zł.“ — 706. „Glorian“ — 707. „Jan Michał“ — 708. „Leo“ — 709. „Zagadka życia“ — 710. „Dama pikowa“ — 711. „Maybe“ — 712. „Debiutant“ — 713. „Pieśń lasów“ — 714. „Karjotha“ — 715. „Bobo“ — 716. „Denis“ — 717. „Na wyżyny“ — 718. „Reformatio“ — 719. „Jot-Jot“ — 720. „Abgar“ — 721. „N. N. D.“ — 722. „Rigo“ — 723. „Nie wiadomo, która godzina“ — 724. „1234“ — 725. „Lelek“ — 726. „Junosza“ — 727. Bękart“ — 728. „Błędne koło“ — 729. „W wirach życia“ — 730. „Fe-ja“ — 731. „Dwie książki“ — 732. „Sursum“ — 733. „Ludzie z żelaza“ — 734. „10“ — 735. „500“ — 736. „Walgierz“ — 737. „Kanada 3“ — 738. „Arno“ — 739. „Lechita“ — 740. „Sodalis“ — 741. „Pokora Krystyny“ — 742. „Orion“ — 743. „Córka Pana Donalda“.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

„LOS“, ZĄBKOWICE. Zaproszenia do nadsyłania exposé filmowych zamieszczone będą na łamach naszego pisma. Nastąpi to po zakończeniu wstępnych prac Sądu konkursowego, której to daty jednak dziś ustalić nie możemy. Scenarjusze będą zwracane autorom tylko na ich żądanie i to po nadesłaniu nam znaczków na zwrot manuskryptów pocztą.

JAN MAŁACHOWSKI, GRODNO. 1) Tak. 2) Nie możemy dzisiaj ustalić. 3) Pytanie wymagałoby odpowiedzi zbyt obszernej. Miejsce nam na to nie pozwala.

„JUNOSZA“ — BIELSKO. Autor nadsyłający 2 scenarjusze, wnien przesłać 2 koperty z 2 odmiennemi godłami. Przyjmujemy „Miss. Jolly“ pod godłem „Junosza“ i prosimy o dosłanie drugiej koperty z godłem do scenarjusza drugiego.

„LUX — 31“, TARNÓW Otrzymaliśmy scenarjusz p. t. „Jak się zdobywa kobietę“ bez koperty zalakowanej, a zaopatrzonej na zewnątrz godłem, wewnątrz zaś zawierającej nazwisko i adres Pańsk. Prosimy dosłać.

„ESEN“ — TARNÓW. Prosimy o dosłanie koperty zalakowanej a zawierającej wewnątrz nazwisko i adres Pański, na zewnątrz zaś opatrzoną godłem do nadesłanego scenarjusza p. t. „Pod znakiem kryzysu“.

„NARCYZ“ — RZESZÓW. Autor nadsyłający 2 scenarjusze winien opatrzyć każdy scenarjusz inem godłem. Przyjmujemy „Sen o miłości“ pod godłem „Narcyz“ i prosimy o dosłanie drugiej koperty z innem godłem dla cenarjusza p. t. „Niema miejsca“.

„JEDNA Z AUTOREK“ — PABJANICE. Redakcja nie może niestety wpływać na tok prac „Sądu Konkursowego“.

„FANTAZJA B“ I „PIRAMIDA BOGÓW“, SOSNOWIEC. Autor nadsyłający 2 scenarjusze winien opatrzyć każdy scenarjusz innem godłem. Przyjmujemy Dra VU pod godłem „FANTAZJA B“, do drugiego scenarjusza należy dosłać drugą kopertę z adresem autora wewnątrz, zaopatrzoną na zewntąrz godłem „Piramida Bogów“.

„MAGDA MARINA“. Prosimy dosłać kopertę z godłem do scenarjusza. Koperta winna być zalakowana, wewnątrz zawierająca nazwisko i adres Pani, na zewnątrz opatrzona godłem.

„PROATRE“ — WARSZAWA. Autor nadsyłający kilka scenarjuszy winien dołączyć do każdego scenarjusza osobno kopertę z godłem. Przyjmujemy „O czem marzy świat“ pod godłem „Fachowiec“ i prosimy do drugiego scenarjusza przesłać kopertę zalakowaną, opatrzoną innem godłem z adresem autora wewnątrz.

„GEORGE LEWIS“ — PRZEMYŚL. Otrzymaliśmy 5 scenarjuszy a to: „Obowiązek krwi“, „W sidłach występku“, „Synowie trądu“, „Manowce życia“ i „Przygoda“ z jedną kopertą pod godłem „George Lewis“. Przyjmujemy „Przygodę“ pod godłem „George Lewis“, prosimy o przesłanie 4 kopert z odmiennemi godłami dla dalszych czterech scenarjuszy.

„ABK FENIKS XX“ — KRAKÓW. List Pański redakcja odstąpiła Sądowi Konkursowemu.

„VIA“ — JAROSŁAW. Oba scenarjusze otrzymaliśmy i przekazaliśmy Sądowi Konkursowemu.



Marja (Lisette Lauvin) i Gizella (Paulette Dubose) — dwie przyjaciółki.

Czy może być piękniejszy i dumniejszy tytuł filmu, niż „Młodość“? Młodość — więc wiosna, świeżość i wdzięk. Młodość — więc nadzieje, więc piękna przyszłość, młodość — więc miłość.

I w filmie George'a Lacombe'a (który był długoletnim asystentem Rene Claira) jest miłość, przyjaźń, naiwność i zawiedzione nadzieje. Marja jest sierotą i mieszka razem z przyjaciółką, w hoteliku, w dzielnicy drobnomieszczańskiej, Grenelle. Ale praca w dużym magazynie nie wypełnia całego jej życia: Marja jest zakochana. Cóż, kiedy z powodu wzrastającego bezrobocia, Ludwik nadaremnie szuka zajęcia i ulegając rozkazowi despotycznego ojca, jedzie na kolonje, gdzie łatwiej o pracę. Lakonicznym listem zawiadamia o tem Marję, nie mając śmiałości przyjść, by się z nią pożegnać.

Pomimo całej odwagi, z jaką Marja kroczy przez życie, pomimo wiary w miłość Ludwika, Marja nie może dłużej tak żyć: idzie nad Sekwanę i rzuca się do wody. Ale ratuje ją Piotr, młody zecer, który przypadkiem ją spotkawszy, odrazu zauważył, że dzieje się z nią coś niedobrego. Piotr jest to dobry chłopak, choć może zbyt lekko wszystko bierze: przypuszcza, że Marja chciała umrzeć, bo zbyt wiele żądała od życia. Dodaje jej więc odwagi, staje się odrazu jej powiernikiem i przyjacielem. Nazajutrz, gdy Marja opuszcza Piotra, spotyka w kawiarni Jana, który widzi w niej ideał wszystkich cnót: oto nareszcie dziewczyna z dobrego domu, cnotliwa i czysta...

I odtąd Marja, nie mogąc się zdecydować, kolejno spędza czas w towarzystwie jednego, to drugiego przyjaciela. (Marja nie wie, że Piotr i Jan pracują i mieszkają razem). Widzimy ją z Piotrem na zabawach ludowych, spędza z nim słoneczną niedzielę nad brzegiem Marny, na wesołym balu. Z Janem widuje się na skwerach, w kawiarniach, z Janem chodzi pod kościół przypatrywać się eleganckim weselom. Razem z nimi oglądamy Paryż, ten francuski, pracujący, drobnomieszczański Paryż midinetek. Jesteśmy z nimi w magazynach i zecerni wielkiego dziennika, w małych barach, ale nigdy na Polach Elizejskich, ani na Wielkich Bulwarach. Jak się ta historja kończy? Przyjaciele dowiedzą się niespodziewanie, że obie Marje, i ta „syrena z Sekwany“, jak ją wzgardliwie nazywa Jan, i ta „cnotliwa Marja“, jak ją znów ironicznie wypomina Piotr, są jedną i tą samą dziewczyną. Jan, dotknięty w swej ambicji, rozczarowany, nie chce jej więcej znać, choć jeszcze przed chwilą chciał się z nią żenić; Piotr, dowiedziawszy się od Gizeli, przyjaciółki Marji, o jej odmiennym stanie, jeszcze raz chce ją ratować. Ale właśnie wówczas okazuje się, że Ludwik nie zapomniał o Marji, że ją wzywa do siebie... I Piotr pozostanie sam ze swym szlachetnym gestem i — odrobiną melancholji.

Czy ta historja odpowiada tytułowi? Spytany o powody, dla których tak nazwał swój film

MŁODOŚĆ.



Marja idzie się topić w Sekwanie.



Niedziela nad brzegami Sekwany pod Paryżem.

reżyser i autor scenarjusza w jednej osobie, tak mi odpowiedział:

— Larousse, w swojej encyklopedji, tak określa słowo „młodość“: żywość, świeżość uczuć. Chciałem ukazać oblicze młodości, która jest daleka od łatwizn życia. A mimo to, mimo przeciwieństw i trudności, moi bohaterowie są pełni optymizmu. Ta ich postawa życiowa jest raczej pewnego rodzaju obroną, niż wynikiem charakteru. Wydaje mi się, że istoty takie, jak Marja, które wymagają wiele od życia, mimo doznanych rozczarowań, potrafią nanowo nabrać odwagi; albo Piotr, egoista i lekkoduch, któremu te przywary nie przeszkodzą być bezinteresownym przyjacielem: to samo mógł powiedzieć o Gizeli, powierniczce Marji, która życie bierze może zbyt łatwo, może nieco cynicznie, ale zato posiada serce, pragnące miłości, której jeszcze nie zaznało; natomiast Jan, pełen naiwności, jest jednym z tych, co nie umieją odróżnić prawdy od fałszu, a czyjeś nieszczęście przypisują złemu charakterowi.

Dałem ten tytuł „Młodość“ akcji raczej dramatycznej, ale dlatego, że tego rodzaju dramat nie mógłby się rozegrać wśród osób dojrzałych, ale wśród osób, które nie umieją kierować rozsądnie swojem sercem, muszą szukać pomocy na swe smutki — tylko u siebie, reagują gwałtownie, na śmierć jak i na życie — a to dlatego, że są młode, że mają jeszcze świeżość uczuć, jaka zdarza się tylko w młodości...

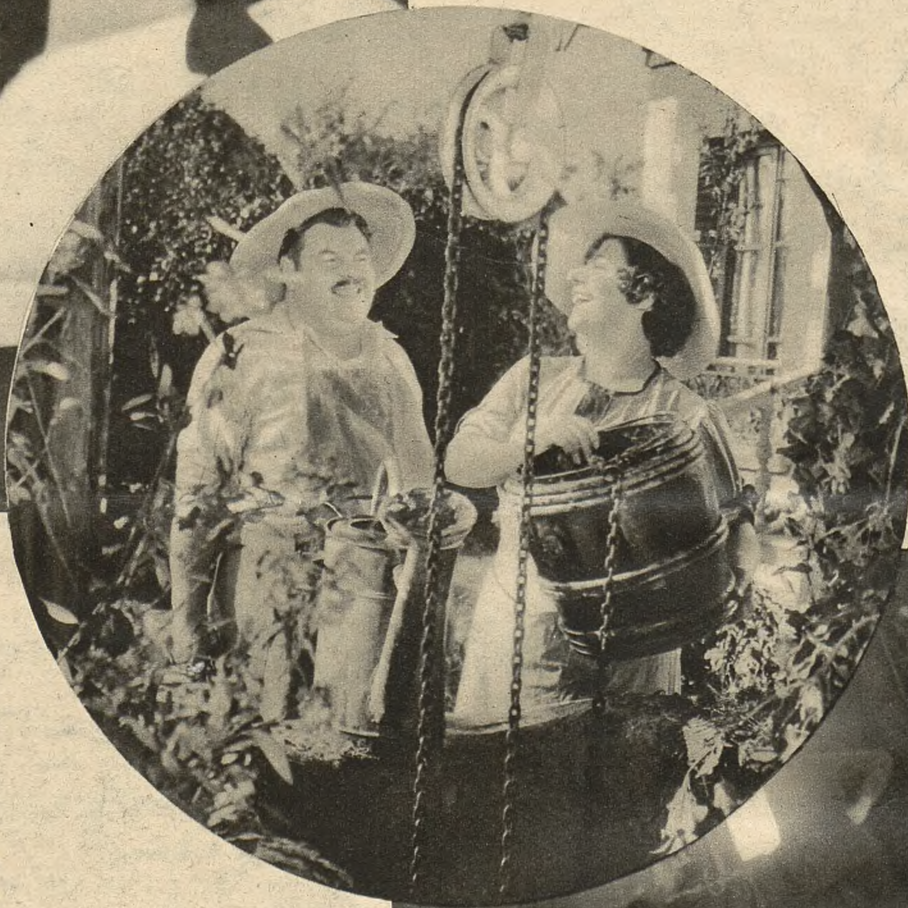
Alicja Brun.



Dzielnica Grenelle, miejsce akcji, cała zbudowana z dekoracyj na wzór starego Paryża. ZDJĘCIA FOTO EPOC.

SAFO





Paryż, w maju 1934.

Premjera filmu „Sapho" odbyła się w Paryżu w tych dniach. Zacznijmy od krótkiego streszczenia arcydzieła Alfonsa Daudet. Na maskaradzie młody Prowansalczyk Jean Gaussain, poznaje piękną Paryżankę, Fanny Legrand. Interesuje się ona chłopcem, wreszcie bierze go do siebie, spragniona miłości świeżej, naiwnej. Miesiące upływają. Jean spostrzega się, że jest jeszcze „ten trzeci", opłacający ten luksus, w którym żyje Fanny i on. W swej prawości nie może znieść tej sytuacji. Opuszcza ukochaną, lecz zapada na chorobę, i znowu ją widzimy u wezgłowia jego łóżka. Miłość prawdziwa zwycięża. Fanny porzuca swe dawne życie. Żyją znowu w szczęściu. Dopiero jednak teraz Jean dowiaduje się o przeszłości djabolicznej Fanny, o jej awanturach, zabójstwach, które spowodowała. Jean trzeźwieje. Wraca do Prowansalji. Będzie pracował, jak dawniej. Lecz ona — protestuje. Pisze doń rozdzierające listy, że pracą i skromnem życiem stara się być godna Jego. Jean... poddaje się ponownie. Wraca. I raz jeszcze konstatuje, że jej natura była silniejsza od miłości i obietnic, że spotkała kogoś z dawnych znajomych. Czuje jednak nieszczęśliwy kochanek, że nic nie oddzieli już od niego Fanny. Więc razem pojadą do Ameryki. On jedzie naprzód do Marsylji, gdzie ona ma przybyć za nim. Jeszcze jeden zawód: Fanny spóźniła się na okręt...

Tak wyglądała rzecz w ujęciu Daudeta, w jego romansie pełnym momentów spchologicznych, zawiłych akcyj drugorzędnych. Tak wyglądać mogła na scenie, wzruszając jednych, denerwując innych swem „klasycznem" przeniesieniem „życia na scenę"... Kino nie mogło pójść dalej, jak stworzyć „teatr na ekranie". Lecz jaka różnica w ujęciu, w adaptacji. Leonce Perret, reżyser, ujął swe dzieło indywidualnie, pogłębiając przez zaretuszowanie momentów zbytecznych. Momentów i płaszczyzn! Więc tło i idea moralna i społeczna ustąpiły miejsca wartkiej akcji, dotyczącej aktualnych problemów życia. W każdej generacji ludzie i rzeczy mają swoją filozofję, przeznaczenie, zmieniają się kartki kalendarza — pozostają problemy wieczyste. Jean'a grał Francois Rozet; Fanny — Mary Marquet. Z przyjemnością jednak zanotujemy udział w tym filmie przesubtelnej artystki rosyjskiej, która w swoim czasie zbierała oklaski w salach awangardy: to Nadia Sybirskaja.

Asystując przy zdjęciach w wytwórni, ma się wrażenie zupełnie inne. — Zgiełk maszyn, techników, kolorów, szczegółów dekoracyjnych — upaja, męczy, rozprasza. Możesz powiedzieć: asystowałem przy nakręcaniu i wtedy dopiero zrozumiesz, jakim bezmiarem trudu jest kręcenie filmu.

Sto razy wózek z aparatami posuwa się naprzód, i wraca. Jeszcze raz! Raz zły gest; raz oponuje inżynier dźwięków: jakieś niewłaściwe szmery; raz wina operatora. Jeszcze raz! Artyści na komendę powtarzają raz, dwa, sto. Ich gra za setnym razem musi być równie dobra (lepsza), jak za pierwszym. Najwybitniejszy reżyser (nieraz słyszeliśmy skargi) ugina się w powodzi pracy, zazębiony w wymagania dzisiejszej produkcji (we funkcji wymagań dnia, wymagań tłuszczy, opłacającej bilety...); albo — zdycha z głodu, bo pragnął zachować swoje „ja".





ZDJĘCIA Z FILMU SAFO.

WYSTAWA »DZIESIĘCIU« W KRAKOWIE.



„Portret kobiecy".

K. CHMURSKI.

K. Chmurski wystawia kilka studjów pejzażowych, akt i 2 portrety. Prace jego jednolite w gamie kolorystycznej, świadczą o kulturze malarskiej.





„Studjum portretowe".

J. FEDKOWICZ.

Malarstwo Fedkowicza jest pełne i dojrzałe. Artysta, świadomy swojej siły, podchodzi do tematu śmiało i bezpośrednio, odrzucając zbyteczne szczegóły dla uzyskania zwartej całości formy i koloru.





„Martwa natura".

T. GROTT.

Teodor Grott jest wirtuozem techniki akwarelowej. Doskonała umiejętność techniczna pozwala mu wydobyć wrażenia różnorodności materjału, lekkości kwiatów. Wystawia również dwa portrety o wyrazitej charakterystyce.





„Po burzy".

B. SERWIN.

Bogactwo jasnych, impresyjnie zestawionych kolorów cechuje twórczość Bogusława Serwina. Wyróżnia się pejzaż.





„Przepaść".

A. BUNSCH.

Bunsch wystawia szereg dużych kompozycyj w sensie ilustracyjnym, nawiązując do tradycyj ekspresjonizmu niemieckiego. Jego obrazy zaciekawiają raczej niezwykłą tajemniczą treścią, wymagającą literackich komentarzy, niż rozwiązaniami formy i koloru.





„Głowa męska".

S. POPŁAWSKI

Rzeźby Popławskiego mają klasyczną i doskonale przemyślaną formę. Dwa studja portretowe o kapitalnym wyrazie świadczą o wnikliwości artysty w psychologję modela. S. Popławski jest jedynym reprezentantem rzeźby w grupie „Dziesięciu".



„Pejzaż".

T. SEWERYN.

Seweryn rozwiązuje problemy malarskie w szarosrebrnej skali, przypominającej zestawienia na gobelinach. Szczególnie pięknie skomponowane pejzaże, doskonałe w fakturze, tchną poetycznym urokiem.



W obecnej wystawie biorą jeszcze udział Paweł Dadlez (portret i pejzaż) Vlastimil Hofman (w szeregu nastrojowych kompozycyj), Ludwik Machalski (architektoniczne motywy Krakowa), Stefan Orwicz (pejzaż i kwiaty), Marcin Samlicki (pejzaże i portret) i Bogdan Treter (kilim i tkanina).

TYTUS CZYŻEWSKI.

Wystawa Tytusa Czyżewskiego, otwarta w Krakowskim Pałacu Sztuki wywołała wiele gorących dyskusyj wśród malarzy i krytyków i wiele zastrzeżeń wśród publiczności. Jest to rzecz zupełnie zrozumiała. Malarstwo Czyżewskiego jest bowiem „trudne". Artysta ten nie idzie utartemi drogami, ale w samotnych poszukiwaniach stara się dotrzeć do najprostszego i najbardziej bezpośredniego rozwiązania plamy barwnej. Laik zarzuci Czyżewskiemu, że nie umie rysować. Trzeba to przyznać, ale raczej na pochwałę twórczości Czyżewskiego, że artysta wyzwolił się w zupełności od akademickiej a tak nudnej poprawności, wiejącej chłodem z ponurych sal uczelni. Widz, który chce zrozumieć nowoczesne malarstwo, musi odrzucić to dobrotliwe przyzwyczajenie wzrokowe do rzeczy „ładnych", musi nauczyć się odnajdować w poszukiwaniach za nową formą rzeczy „dobrych". Rysunek Czyżewskiego jest nawskroś malarski. Możnaby to określić, że rysuje on „poprzez kolor", odrzucając walory graficzne, które tak zaciążyły na kiepskiem malarstwie ubiegłego stulecia. W obrazach Czyżewskiego zdumiewa przedewszystkiem olbrzymia aktywność życiowa i agresywność względem tematu, chęć zdobywania nowych prawd. — Każde płótno jest rozwiązanym probelmem malarskim o jasno postawionem założeniu. Szczególnie portrety, które swoim przepysznym wyrazem, pełnym realizmu muszą przemówić nawet do skrajnych niedowiarków i opozycjonistów, stanowią nowy etap w pojmowaniu rozwiązań malarskich. Kultura malarska Czyżewskiego jest poniekąd pokrewna kulturze francuskiej. Czyżewski jednak przy całem przerafinowaniu jest od Francuzów „dzikszy", gwałtowniejszy. Przy delikatnej gamie różowawych odcieni spotykamy niespodzianie śmiałe akcenty pełnych bogatych zieleni, przy złocistych tonach, nieomal brutalny akcent zimnego fjoletu. Reasumując: na wystawie Czyżewskiego można zobaczyć „malarstwo".

Jan Szancer.

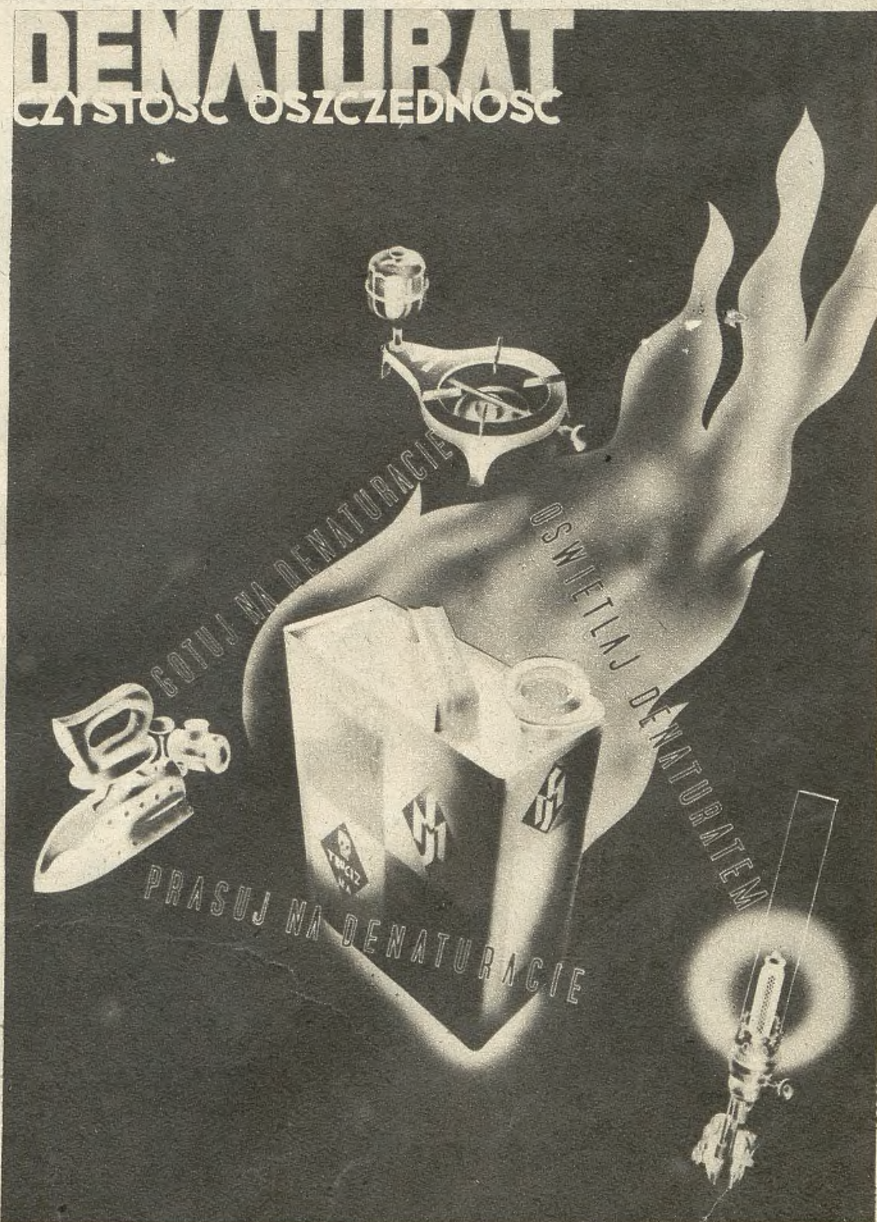


„Rębacz".



Tytus Czyżewski.

WYNIK KONKURSU NA PLAKAT MONOPOLU SPIRYTUSOWEGO



Plakat zaprojektowany przez pp. Sandecką i Nowickiego otrzymał I nagrodę na Konkursie Monopolu Spirytusowego.



Modny kapelusz z białego płótna, przybrany podwójnym kutasem niebiesko-czerwono-białym. Bluza jedwabna w tych trzech kolorach do białego płóciennego kostjumu.

WIOCHNA

Urocza sukienka z lekkiej wełny. puzybrana żabotem w kształcie dużych skrzydeł z linon, haftowanem w motyw Richelieu.

Wiosna i lato stoją w znaku niezwykle młodocianego charakteru strojów kobiecych. Zwłaszcza ubiór na ulicę, do pracy, czy też sukienki wizytowe, są utrzymane w stylu sportowym, który w odróżnieniu do angielskich tailleurów, nieco surowych w poważnej linji, ma tyle zalet, że poddajemy mu się z prawdziwem zadowoleniem. A przedewszystkiem modele te są młodociane! To ich największa zaleta i cecha, którą uzyskujemy przez różne drobiazgi, dodające wdzięku sukni i właścicielce, skoro tylko umie je harmonijnie dobrać do ubioru.

Podwyższona aż do szyi linja dekoltu pozwala bardziej niż kiedykolwiek na zastosowanie żabotów, ranwersów, krągłych kołnierzy itp. z batystu linon, tak lubionego przez wszystkie panie, gdyż jest to przybranie sukni zawsze efektowne, łatwe do przeprania i bardzo odświeżające każdy strój.

Ton przybrania sukienki, lub też szal przy kostjumie, muszą mieć odpowiednik w przybraniu kapelusza, zaznaczony choćby tylko dyskretnym paseczkiem materjału czy wstążki.

Rękawiczki, pończoszki, torebki i buciki, to dalsze pole do wykazania umiejętnego dobierania tych szczegółów ubioru do całości, która dopiero świadczy o smaku i dobrym guście właścicielki. O dobrym guście i zdolności wyzyskiwania walorów mody o charakterze młodocianym w tym kierunku ,aby jak najkorzystniej — choć bez przesady — zastosować te drobiazgi w swoim ubiorze, dbając o wdzięczny, młodociany wygląd.

Wiosna nam to podsuwa w tegorocznych darach mody! Trzeba je w lot przystosować do typu swej urody, aby potem przeglądnąwszy się w lustrze, móc powiedzieć sobie samej to urocze słowo: wiochna! **J. Z.**



Zgrabne bolerko w zakładeczki podłużne do kostjumu z tafty z białą bluzą.



Szal w kolorowe pasy harmonizuje w przybraniem kapelusza — canotier.

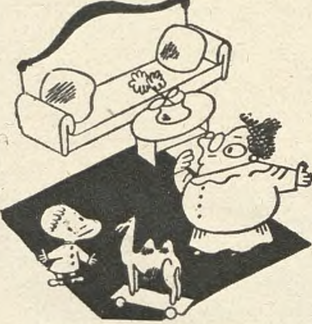
HUMOR.

Wśród czarnych.



— To ciekawe; oni nigdy nie słyszeli o Józefinie Baker..!

„Skromne" wymagania



— Cóż Stasiu, podoba ci się twój wielbłąd?
— Wolałbym takiego z czterema siedzeniami...

Na plaży angielskiej.



— Zabierzesz mnie na dancing?
— Ależ w tym stroju nie mogę...
— Nic nie szkodzi, pożyczę ci długą sukienkę...

Kobieta i matematyka.



— Styszałaś, ona opowiada, że jest w naszym wieku?
— To się zgadza, przecież my mamy razem 40 lat...

SZARADA WIOSENNA.

(Ułoż. inż. J. Modrzejewski — Warsz. Klub Szar.)

Już ciepły powiew wiosny
Ostatni stopi śnieg,
Skierujmy krok radosny —
Nad cichy rzeki brzeg.

Tam **trzecia-czwarta** czarna —
Na niej drzew smutne pnie,
Ziemię — nim wrzucą ziarna —
Wspak trzecia-druga tnie...

Na gór widnieje szczycie —
Wspak trzecia-czwarta perć,
Niż bez miłości życie,
Już lepsza chyba — śmierć...

Pod niebios wzlata stropy —
Drapieżny jakiś ptak,
Do Twej się chylę stopy —
Bom ja Twój **pierwszy wspak**...

Popłyniem... wiosła moje —
Pchną szybko naprzód łódź,
Popłyniem tylko dwoje —
Nie marzeń złotą snuć.

Niechaj nie **drugie-czwarte** —
Nas ludzkiej mowy jad
O wiosła dłonie wsparte —
Na wodzie ginie ślad...

Niech **pierwsza-druga** płynie —
Po cichej tafli wód,
Niosąc nas ku krainie,
Gdzie szczęście śni u wrót...

Rozwiązanie z Nr. 17.

SZARADA: Wyniki Wielkanocy.
ELIMINATKA: Niech żyje „Światowid".

REBUS.

ul. Witold Ustaszewski, Rembertów.



Za rozwiązanie powyższych dwu zadań, redakcja „Światowida" przeznacza

t r z y n a g r o d y.

Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesięczna „Światowida".

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 26 maja 1934 r., wraz z załączonym kuponem.

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 17 nadesłali:

Jurczyk Bolesław, Krynica; Justyna Krasnodębska, Seroczyn Siedl.; Jan Gernad, Kraków; „Wintak", Kraków; Józefa Kitówna, Kraków; Wiktor Kwinta, Kraków; Hanka Kwintówna, Kraków; „Wilnianin", Dubno; Lidja Sasówna, Kraków; L. Pogoda, Jaworzno; Bogusia Mędralówna, Rzeszów; Aleksander Hołub; **Władysław Gallas, Żywiec (20.—)**; Z. Tietz, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; Stanisława Mikowska, Warszawa; Józef Drabik Warszawa; Józef Maziarz, Ozorków; J. Ajlenberg, Pabjanice; Hanka Cieślikówna, Kraków; Jan Badura, Szopienice; E. Piottuch, Wilno; Juljan Gąsior, Żywiec; Wł. Jankowski, Żywiec; Z. Staszewki, Pabjanice; ks. Juljan Ludomir Arlitewicz, Skotniki; Tolek z Baranowicz; Wanda Sobecka, Poznań; Roma Schützowa, Biała Wielka; Władysława Wojtczakowa, Ozorków; Walentyna Zalewska, Ozorków; Jan Norbert Maziarz, Ozorków; Irena Lewicka, Lwów; Wiktorja Kowalska, Warszawa; Dorota Herbstmanówna, Warszawa; Czesław Kozłowski, Warszawa; Zofja Lasocka, Warszawa; Jerzy Sass, Krzeszowice; **S. Mitté, Radom (zł. 10.—)**; Józefa Madajewicz, Wieliczka; Elżbieta Głowania, Kraków; Irena Nosowiczówna, Wilno; Eug. Pietrzak, Łódź; Halina Drwamowska, Otwock; inż. Zygmunt Słowikowski, Warszawa, Ewa Brzozowska, Warszawa; Eugenjusz Petrynowski, Kutno; Aleksander Jastrząb, Nowa Olsza; Grzywacz Tadeusz, Kraków; Bolesław Kurowski, Warszawa; „Ypsylon" — Budzanów; Irena Senze, Żychlin; Jadwiga Moczulanka, Wilno; Marja Wolska, Lublin; Gruca Zdzisław, Dąbrowa Górnicza; Irena Obuszkiewiczówna, Sambor; Emil Michalski, Żywiec; Alfreda Świtkowska, Lwów; Hrabia na zielonej trawce, Wilno; N. Kazimierz Kozłowski, Warszawa; Zb. Block, Poznań; Marja Strubel, Warszawa; „Grenicheux", Warszawa; „Sak", Warszawa; Marja Czajkowska, Warszawa; **Franciszek Pietrzyk, Jaworzno (prenumerata miesięczna „Światowida")**; Wanda S. Baranowicze; Marjan Musiałowicz, Poznań; Ludwik Iwanowski, Kutno; Teofil Sobecki, Poznań; inż. J. Modrzejewski, Lublin.

Nagrody otrzymali pp. Władysław Gallas, Żywiec (zł. 20.—), S. Mitté, Radom (zł. 10.—); i Franciszek Pietrzyk, Jaworzna (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—30-go czerwca 1934).

Nagrody pieniężne redakcja „Światowida" prześle niebawem.

Przyjaciółki.



— Pisze, że myśli o mnie od rana do wieczora!
— Szkoda tylko, że teraz jest dzień taki krótki...



Polacy z Ameryki wyświęceni na kapłanów w Krakowie.

W tych dniach J. Eks. ks. biskup sufragan krakowski Rospond w czcigodnym, tyloma tradycjami uświęconym kościele O. O. Franciszkanów w Krakowie udzielił święceń kapłańskich ośmiu alumnom. Uroczystość ta tem doniośliejszą była, że wśród młodych duszpasterzy znajdowało się trzech Polaków z Ameryki, a mianowicie ks. Zieliński, Balcera i Góral, wśród pobożnych zaś, ze sskupieniem i wzruszeniem biorących udział w nabożeństwie, znalazły się także rodziny młodych kapłanów. Nasze zdjęcie przedstawia jednego z nowowyświęconych Polaków z Ameryki, ks. Konstantego Zielińskiego bezpośrednio po otrzymaniu święcenia, w towarzystwie rodziców i ks. Pułaskiego z Warszawy w zakrystji kościoła O. O. Franciszkanów. Ogólny widok uroczystości podajemy na ostatniej stronicy niniejszego numeru.

SWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Prenumerata kwartalna zł. 6.50. Zagranicą zł. 9.50.
Prenumerata miesięczna zł. 2.20. Zagranicą zł. 3.20.
Wydawca i naczelny redaktor.
MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego" w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.



ŚWIĘCENIA KAPŁAŃSKIE.

W tych dniach J. E. ks. biskup sufragan krakowski Rospond w asyście OO. Kapucynów udzielił w kościele OO. Franciszkanów w Krakowie święceń kapłańskich ośmiu alumnom, pomiędzy którymi znajdowało się trzech Polaków z Ameryki. Podniosła ta uroczystość wywarła silne wrażenie na zebranych licznie członkach rodzin młodych kapłanów i rzeszy pobożnych.

Ag. Fot. „Światowid".